



# *Trish Wylie*



# *Walentynkowy bal*

## *ROZDZIAŁ PIERWSZY*

Rakieta tenisowa była pierwszą rzeczą, która wpadła jej w rękę. Podejrzany hałas w kuchni natychmiast postawił ją na równe nogi. Najwidoczniej Rhiannon MacNally miała wyjątkowo czuły słuch, bo usłyszała go mimo burzy. Była to pierwsza noc w tym wielkim pustym domu, którą miała spędzić tylko z córką. Grube ściany zapewniały bezpieczne schronienie przed wiatrem, deszczem i nieproszonymi gośćmi. Przynajmniej przed chwilą tak jej się jeszcze wydawało.

Uświadomiła sobie, że ktoś musiał tam być już w chwili, gdy schodziła na dół. Dobiegające z kuchni hałasy przeraziły ją. Zimny dreszcz przeszedł jej po plecach. Być może decyzja, by natychmiast pójść i sprawdzić, co się dzieje, nie była najrozsądniejsza. Gdy oglądała filmy grozy, śmieszyły ją naiwne bohaterki, które same pakowały się w kłopoty. Jednak teraz jest u siebie w domu i nie zamierza uciec do sypialni, by schować głowę pod kołdrę!

Ruszyła więc przez hol, trzymając się blisko ściany. Bose stopy powoli i ostrożnie stapały po lodowatej terakocie. Trzymała przed sobą raketę, kurczowo ściskając ją rękami. Zamarła na chwilę, bo hałas znów się nasilił. W kuchni przewróciło się jakieś pudło, ktoś cicho zaklął, wpadając na jakiś mebel.

Rhiannon nerwowo przełknęła ślinę i odruchowo zwilżyła językiem zaschnięte usta. Zbliżyła się do drzwi. Była gotowa wrzeszczeć jak opętana, żeby wystraszyć intruzów.

Wystarczyło lekkie dotknięcie klamki i drzwi otworzyły się szeroko. Nabrała powietrza w płuca i uniosła raketę. Cień ruszył w jej kierunku. Cofnęła się natychmiast i z całej siły wymierzyła cios w biodra przeciwnika.

Gdyby teraz pochylił się, mogłaby wymierzyć mu cios w głowę. W przeciwnym razie pozostawało tylko uderzenie poniżej pasa.

Usłyszała jęk i przekleństwo. Mężczyzna błyskawicznie chwycił koniec rakiety, popchnął Rhiannon i przygwoździł ją do ściany. Potem przywarł do niej całym ciałem, uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Za późno zdała sobie sprawę, że popełniła poważny błąd i znalazła się w pułapce.

- Zostaw mnie! - krzyknęła. - Zadzwońłam po policję. Już tu jadą, więc wynoś się, dopóki masz okazję! - skłamała.

Nie mogła po ciemku znaleźć komórki. Oczywiście, on nie może o tym wiedzieć.

- Rhiannon?

Zesztywniała. Doskonale знаła ten głos i zapach, choć minęło już dziesięć lat. Starła się o nim zapomnieć. Bezskutecznie. Teraz on jest w jej domu, a ona nie jest w stanie nawet drgnąć! Po prostu koszmar.

- Kane? Co ty tu, do diabła, robisz? - zapytała.

Gorącym oddechem zdmuchnął kosmyk włosów z jej czoła, ale się nie ruszył. Rhiannon nie mogła pogodzić się z faktem, że mimo upływu czasu nadal pobudzał jej zmysły, a jego obecność przypominała o wspólnie spędzonych chwilach. Jeszcze raz spróbowała się uwolnić.

- Puść mnie!

- Mogę rozważyć taką ewentualność, jeśli obiecasz, że nie przyłożysz mi tym czymś kolejny raz - stwierdził.

- Miałeś szczęście, że nie złapałam czegoś cięższego i nie walnęłam trochę niżej. Śmiertelnie mnie przestraszyłeś! Co ty wyprawiasz? Dlaczego myszkujesz po domu w środku nocy? Jak ci się udało tu wejść? Nie masz prawa zjawiać się tu o dowolnej porze i...

- Zacznijmy od sprawy twojego przerażenia - zaproponował rozbawionym tonem. - Nie uważasz, że to objaw niezwykłego rozsądku, kiedy słaba kobieta rzuca się, aby obezwładnić domniemanego włamywacza? Poza tym dlaczego nie mam prawa tu być? Przez lata korzystałem z tego domu tak samo jak ty. Nie przyszło ci do głowy, że może tu znajdować się coś, do czego nadal mam prawo?

Pytanie to bardzo ją zaniepokoiło. Poczowała ucisk w dołku. Żeby się uspokoić, kilka razy głęboko odetchnęła. Zaczęła intensywnie myśleć. Przecież nie może mu chodzić o...?

W końcu jednak zapanowała nad nerwami. Westchnęła i przestała się szamotać. Przynajmniej nie musi ocierać się o niego. Na początek dobre i to, pomyślała. Kolejna seria głębokich oddechów przywróciła jej zdolność logicznego myślenia.

- Brookfield jest teraz moim domem. Nie możesz wpadać ot tak sobie, kiedy przyjdzie ci ochota, bo Mattiego już tu nie ma! Jeśli rzeczywiście masz tu jakieś swoje rzeczy, możesz je zabrać w ciągu dnia. Byłoby jeszcze lepiej załatwić to za pośrednictwem kuriera. - Mówiła w miarę spokojnie. Przesyłka kurierska oszczędziłaby jej konieczności zbędnych spotkań. - Jak tu wszedłeś? Włamałeś się? Jeśli tak...

- Mam klucz.

Ciekawe od kiedy? - pomyślała.

- Oddaj go natychmiast - zażądała. - Mógłbyś wreszcie przestać przyciskać mnie do ściany? - dodała stanowczym tonem.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. W końcu Kane cofnął się. Zamiast dotyku gorącego ciała, Rhiannon poczuła nagle chłód, a jej ciało przeszedł dreszcz. Pospiesznie roztarła ramiona.

- Pytam poważnie, dlaczego tu jesteś? Nie przypominam sobie, żebym cię zapraszała.

- Musimy porozmawiać - rzekł po chwili.

Rhiannon utkwiała w nim wzrok.

- Nie mamy o czym rozmawiać - odrzekła stanowczym tonem. - A gdyby nawet wystąpiła taka potrzeba, to chcę ci przypomnieć o epokowym wynalazku, jakim jest telefon. Wspaniała rzecz, uwierz mi. Mógłbyś z niego skorzystać, zamiast straszyć mnie w środku nocy. Wtargnąłeś na cudzy teren bez zezwolenia. Właściwie to chyba nawet było włamanie...

- Nie, bo mam klucz. Dotarłbym tu wcześniej, ale złapałem gumę - wyjaśnił. - Poza tym zapewniono mnie, że nie będzie cię tu jeszcze przez tydzień.

Co go obchodzi, kiedy tu bywam? - pomyślała. Kilkakrotnie nacisnęła włącznik, ale światło się nie zapaliło. Przedtem to samo zrobiła na piętrze, ale wtedy uznała, że to tylko przepalona żarówka.

- Już sprawdzałem. W całym domu nie ma światła - poinformował.

Wspaniale, pomyślała, uderzając biodrem w kuchenną szafkę.

Odruchowo cofnęła się z bólu i znów znalazła się twarzą w twarz z Kane'em. Pomyślała, że koniecznie musi postarać się o jakieś oświetlenie. Choćby dlatego, by patrząc mu w oczy, zażądać opuszczenia domu.

Wyciągnął rękę w jej stronę i musnął palcami jej jedwabny szlafrok. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak skąpo jest ubrana. Krople deszczu znów głośno uderzyły o kuchenne okno. Tymczasem Kane pochylił się do jej ucha.

- Nie masz gdzieś świec? - spytał z irytacją.

- Mam - stwierdziła bez przekonania.

Podeszła do szafki i wysunęła szufladę, po czym po omacku sprawdziła jej zawartość. Co prawda nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek

wkładała tam świece lub choćby zapalki, jednak z drugiej strony Brookfield to dom stojący na pustkowiu i niewątpliwie zdarzały się tu awarie prądu w czasie burz. Ktoś przed nią na pewno przygotował zapas świec na taką ewentualność.

Usłyszała, że Kane podszedł do innej szafki i zaczął przeszukiwać szuflady. Przez dłuższą chwilę pracowali we wrogiej ciszy.

- Znalazłam! - zawołała nagle.

- Mam zapalki - pochwalił się Kane. - Zostań tam. Już do ciebie idę.

Czekała oparta o kuchenny blat. Szeroko otworzyła oczy, starając się dostrzec go w ciemności. Właściwie było to zbyteczne, bo poczuła jego zapach. Odwróciła się, wyciągając przed siebie świecę, jakby miała w ręku tarczę.

- Proszę - rzekła przekonana, że Kane sięgnie po świecę, ale on po prostu zapalił zapalkę.

Wreszcie miała okazję mu się przyjrzeć. Postarzał się, ale przecież ona też nie odmłodziła. Natomiast nie przestał być przystojny. Unikanie go przez tak długi czas nie było prostym zadaniem, ale jakoś jej się to udawało - aż do pogrzebu Mattiego. Z kolei wtedy miała ważniejsze sprawy na głowie niż poświęcanie uwagi osobie Kane'a.

Natomiast teraz byli tylko we dwoje i nigdzie jej się nie spieszyło. W przyćmionym świetle jego oczy wydawały się niemal czarne, a nie niebieskie, jak je zapamiętała. Stał lekko pochylony i przyglądał się jej tak samo, jak ona jemu.

Z jego spojrzenia nie mogła nic wyczytać. Zresztą i tak nie znała go lepiej niż przed laty.

- Jest gdzieś więcej tych świec? - zapytał.

Miała wreszcie pretekst, by się odwrócić, ale jego twarz pozostała jej przed oczami. Gdyby teraz zgasła świeca, Rhiannon nadal mogłaby przywołać

z pamięci jego ciemne włosy, zmarszczone czoło, gęste brwi, prosty nos i kąciki ust uniesione w półuśmiechu.

Trzymając świecę nad szufladą, kontynuowała poszukiwania.

- Kane, możesz mi wreszcie powiedzieć, czego chcesz? Im szybciej się dowiem, tym szybciej będziesz mógł wyjechać.

- Mówiłem ci, że musimy porozmawiać. Śmierć Mattiego zmieniła wiele spraw.

- Jestem przekonana, że nie mamy o czym rozmawiać - stwierdziła.

Bardzo chciała, żeby on też był o tym przekonany.

- Musimy porozmawiać o Brookfield - wyjaśnił.

- Słucham? - spytała zaskoczona. - Dlaczego? Co Brookfield ma z tobą wspólnego? Przecież Mattie przeznaczył dom dla mnie.

- Dom tak - przyznał bez cienia emocji. - Natomiast grunty należą do mnie. Cała posiadłość. Dlatego musimy porozmawiać.

Co to miałyby znaczyć? Przecież dom i teren wokół niego stanowią jedną całość od pokoleń! Rhiannon przejęła dom z przekonaniem, że jest to wielkie wyzwanie dla kobiety, ale chciała podjąć takie ryzyko. Przede wszystkim chodziło jej o przyszłość Lizzie. Właśnie! Kane nie powinien być z Lizzie pod jednym dachem ani sekundy dłużej!

- Ona śpi? - zapytał, jakby potrafił czytać w myślach.

Do diabła! Nie miała najmniejszej ochoty na rozmowy z nim o dziecku. Nie zamierzała też odpowiadać na pytania dotyczące tego tematu.

- Co masz na myśli mówiąc, że posiadłość należy do ciebie?

Wzruszył ramionami.

- Niewiele jest do wyjaśniania. Rok temu Mattie mi ją sprzedał.

- Dlaczego? - spytała z niedowierzaniem. - Przecież ubóstwiał to miejsce i nie rozstałby się z nim, gdyby żył.

- W normalnych okolicznościach na pewno nie - przyznał Kane, wyciągając do niej rękę. Przesunął jej dłoń w swoją stronę, by zapalić drugą świecę. - Jednak najpierw przesadził z wydatkami na utrzymanie posiadłości, a potem zachorował. Leczenie kosztowało krocie. Nie chciał zaciągać pożyczki, więc kupił od niego akcje firmy Micro-Tech i posiadłość. Postawił tylko warunek, że będzie można ją sprzedać wyłącznie razem z domem.

Co za koszmar! - pomyślała. To nie może być prawda. Poza tym Kane chyba nie wyobraża sobie, że ją stać na wykup terenu?

- Chciałbym ci zaproponować, żebyś sprzedała dom.

Rhiannon spojrzała na niego. Nadal obejmował jej dłoń, więc szybko podała mu świecę.

- Powinniśmy postawić je na czymś - stwierdził.

- Dlaczego załatwiamy interesy w środku nocy? - zapytała.

Zdała sobie sprawę, że spędziła w Brookfield dopiero jeden dzień i już ma kłopoty. Oczywiście, jak zwykle we wszystkim, co złe, ma swój udział ten cholerny Kane Healey!

- Nie zamierzałem prowadzić z tobą nocnych rozmów. Miało cię tu nie być. Umówiłem się na rano z agentem nieruchomości, żeby przygotował wycenę.

- Za moimi plecami?

Wzruszył ramionami.

- Jeśli będę w stanie podać ci wartość budynku, łatwiej ci będzie podjąć rozsądną decyzję.

- Właśnie się wprowadziłam i nie zamierzam się natychmiast wyprowadzać.

Poza tym zwolniła się z pracy i załatwiła przeniesienie Lizzie do innej szkoły. Dziewczynka musiała rozstać się z dawnymi koleżankami i



mieszkań, w którym się wychowała. Rhiannon zdecydowała się na to wszystko tylko dlatego, żeby wreszcie miały własny dom.

- Nie stać cię na utrzymanie tak wielkiego budynku - stwierdził.

- Nie będziesz mnie pouczał, co mam robić - powiedziała i odwróciła się, by sięgnąć po talerzyk. Postawiła na nim świecę, a drugą ręką poprawiała szlafrok.

Kane zmarszczył brwi. Nie tak wyobrażał sobie tę rozmowę. Zresztą wszystko, co wiązało się z Rhiannon MacNally, zawsze układało się inaczej, niż sobie zaplanował. Teraz nie starał się skomplikować jej życia, choć na pewno tak myślała. Zdawał sobie sprawę, że nie miała ochoty na spotkanie z nim, a tym bardziej na wspólne interesy. Już dawno dała mu to wyraźnie do zrozumienia. Jednak był przekonany, że nie stać jej na zakup posiadłości, więc wykup domu przez niego miałby większy sens. Potem mogłaby zrobić z pieniędzmi, co tylko by chciała, i nie miałyby z nim więcej do czynienia. Proste i oczywiste.

W rzeczywistości wszystko okazało się o wiele bardziej skomplikowane. Zaczęło się od ciosu rakieta tenisową w brzuch. Żeby uniknąć kolejnych, przycisnął Rhiannon do siebie. To z kolei przywołało wspomnienia, do których nigdy nie zamierzał wracać. Jednak teraz, w delikatnym świetle świec, Rhiannon wyglądała cudownie. Rude włosy lekko połyskiwały, w piwnych oczach pojawiały się ogniki. Rozproszone światło tworzyło wokół jej włosów lekką aureolę, co dodawało jej wdzięku nie mniej niż jedwabny szlafrok.

W innych okolicznościach na pewno wzbudziłaby w nim pożądanie. I jak dawniej, nie potrafiłby się tej kobiecie oprzeć.

Wyprostował się i na chwilę odwrócił wzrok.

- Późno już. Porozmawiamy rano - zaproponował.

Rhiannon wytrzeszczyła na niego oczy.

- Zamierzasz tu nocować? Nic z tego!

- Na litość boską, przecież to wielki dom. Nawet nie zauważysz mojej obecności, dopóki nie zejdem na śniadanie. Obiecuję nie nachodzić cię po ciemku - dokończył żartobliwym tonem, ale nie zyskał tym jej przychylności.

- Nie chcę cię tu widzieć w czasie śniadania. Jeśli koniecznie musisz coś omawiać, przyjdź, kiedy Lizzie wyjdzie już do szkoły - powiedziała, marszcząc brwi. - Ostatnio miałyśmy za dużo stresów. Nie chcę wysłuchiwać jej pytań na twój temat.

Czuł, że jest to tylko pretekst.

- W promieniu wielu kilometrów nie ma tu hotelu i nikt nie wynajmuje pokoi. Po prostu nie mam gdzie zanoćować. Rano zaczekam na jej wyjście i porozmawiamy, gdy przyjdzie agent.

- Nie mamy o czym rozmawiać! - powiedziała dobitnie, oddzielając słowa.

- Owszem, mamy. - Wziął głęboki oddech, by zachować spokój. - Czy ci się to podoba, czy nie, posiadłość i dom stanowią całość. Jeśli nie chcesz go sprzedać i nie masz pieniędzy na wykup ziemi, stajemy się współnikami. To oznacza, że powinniśmy omówić warunki.

Rhiannon zmrużyła oczy.

- Wolałabym stracić rękę, niż mieć z tobą coś wspólnego - oświadczyła.

Uniósł brwi z niedowierzaniem.

- Chyba przyznasz, że ostatnim razem udało nam się działać z pełnym zrozumieniem potrzeb obu stron?

Zaczerwieniła się.

- Jesteś wyjątkowym sukini...

- No nie. Żeby pani na włościach używała takiego języka? - wtrącił.

Spojrzała na niego ze złością, co sprowokowało go do uśmiechu. Jej mina zdradzała, że chętnie wymierzyłaby mu kolejny cios. Jednak szybko opanowała się i wzięła głęboki oddech.

- Nie zamierzam prowadzić dyskusji w środku nocy - oznajmiła, nie patrząc mu w oczy. - Możesz sobie spać, gdzie chcesz. Natomiast Lizzie nie może cię tu zobaczyć. Nic o tobie nie wie i chcę, żeby tak zostało - dodała, omijając go i podchodząc do drzwi.

Kane odwrócił się na pięcie.

- Dlaczego, do diabła, miałbym się przejmować, czy coś o mnie wie, czy nie? Przecież nie mam z nią nic wspólnego.

Rhiannon zakłęta pod nosem i stojąc w drzwiach, odwróciła się na chwilę.

- Wiesz, Kane, po raz pierwszy od bardzo dawna udało ci się powiedzieć coś, z czym absolutnie się zgadzam. Trzymaj się od niej z daleka. Mówię poważnie. Za nic na świecie nie chcę, żeby przekonała się, jak niewiele jesteś wart.

O co jej chodzi? - pomyślał z irytacją.

Jednak zniknęła za drzwiami, zanim zdążył zapytać.

Nie poszedł za nią, choć miał na to wielką ochotę. Zacisnął zęby.

Rozmowa z nią miałaby sens jedynie za pośrednictwem prawnika. Co prawda nie wiedział do końca, co chciałby w ten sposób osiągnąć. Natomiast szybko zorientował się, czego powinien unikać. Rhiannon była bardzo atrakcyjna i to nie dawało mu spokoju. Im szybciej opuści więc to miejsce, tym lepiej.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Mamo, czy mogłabym mieć kucyka i może jeszcze psa? - spytała Lizzie.

Rhiannon uśmiechnęła się pobłażliwie. Przeszły właśnie przez obszerny hol i minawszy główne wejście, skierowały się na zwirowany podjazd, gdzie stał zaparkowany jeep. Napięcie z powodu pierwszego dnia w nowej szkole Lizzie rozładowywała nieustanną gadaniną. Błyskawicznie zjadły śniadanie, bo Rhiannon za wszelką cenę starała się uniknąć spotkania z nieproszonym gościem. Na wszelki wypadek przygotowała jeszcze kanapki, by w razie potrzeby zjeść je w samochodzie.

- Może najpierw urządzimy się porządnie, a dopiero potem założymy zoo? - zaproponowała.

Co prawda po doświadczeniach ostatniej nocy stwierdziła, że pies bardzo by się przydał. Najlepiej niewielki, ale szczekający donośnie. Mógłby mieć legowisko w kuchni.

- Czyj to samochód?

Rhiannon zastygła na moment z ręką na klamce jeepa. Tak niewiele brakowało, by wyjechać z domu bez zbędnych pytań. Zmusiła się do uśmiechu. Zerknęła w stronę eleganckiego sportowego samochodu, który stał z boku domu.

- Należy do przyjaciela wujka Mattiego - wyjaśniła.

Właściwie nie było to kłamstwo. Rzeczywiście tamci przyjaźnili się. Chyba nawet bardziej w ostatnich latach niż dawniej, gdy ich poznała.

Lizzie była wyraźnie zaintrygowana.

- Czy będzie tu jeszcze, kiedy wrócę ze szkoły?

Postaram się, żeby do tego nie doszło, pomyślała jej matka.

- Raczej już wyjedzie. Nie wiedział, że zdążyliśmy się wprowadzić.

- Nie może zostać dłużej? Moglibyśmy porozmawiać o wujku. Bardzo bym chciała.

Rhiannon czuła, że serce jej się ściska. Sama zachęcała Lizzie, by o nim rozmawiała. Nie chciała, by dziewczynka, która nie miała jeszcze dziesięciu lat, musiała sama borykać się z takimi problemami. To nie byłoby dobre dla jej psychiki. Jednak równocześnie nie chciała, by Lizzie rozmawiała z Kane'em na jakikolwiek temat.

- Jest bardzo zajęty. Gdy wrócisz, na pewno już go tu nie będzie.

Dziewczynka była bardzo rozczarowana i Rhiannon poczuła się winna.

- Może po powrocie poszukasz ze mną zdjęć wujka? - zaproponowała. -

Powiesimy je na ścianie w bibliotece.

Lizzie skinęła głową. Pomysł najwyraźniej przypadł jej do gustu.

- Dobrze.

- W takim razie możemy jechać.

Rhiannon zawiozła córkę do szkoły. Budynek był o wiele mniejszy niż ten, do którego Lizzie uczęszczała w mieście. Gdy już miała pewność, że córka trafiła do właściwej klasy, znów zaczęła myśleć o domu. Czekwały na nią kolejne problemy, z którymi wcale nie chciała się zmierzyć. Jednak było to nieuniknione.

Ostatniej nocy nie mogła zasnąć. Przewracała się na łóżku i nasłuchiwała, czy Kane nie kręci się po domu. Myślała o nim z niechęcią, a równocześnie starała się znaleźć najlepsze wyjście z sytuacji, która skomplikowała się natychmiast, gdy tylko się pojawił. Jego osoba nigdy nie wróżyła niczego dobrego.

Może znalazłaby jakieś rozwiązanie, gdyby udało jej się wyspać? Teraz chwyciła mocno kierownicę i w bojowym nastroju minęła bramę wjazdową do Brookfield. Jeszcze poprzedniego dnia marzyła, że praca na terenie posiadłości będzie szansą dla niej i dla córki, by nie rozpamiętywać śmierci Mattiego i tworzyć stabilną przyszłość. Kane brutalnie sprowadził ją na ziemię. Byłoby najlepiej, gdyby wyjechał, zanim Lizzie wróci do domu. A z drugiej strony przez chwilę miała ochotę dać mu szansę, by przekonał się, jak ładna, mądra i bystra jest jej córka.

Jechała teraz aleją otoczoną wysokimi drzewami. Droga była wąska. Pierwsi właściciele nie wyobrażali sobie, że mogłoby nią jeździć coś innego niż konny powóz. Prowadziła wzdłuż brzegu jeziora, rozszerzając się tylko przed domem.

Przejażdżka tą drogą zawsze sprawiała Rhiannon wielką przyjemność. Wychowała się w blokach w niezamównej części Dublina i miejsca takie jak Brookfield traktowała jak świat rodem z bajki, który nie miał zupełnie nic wspólnego z rzeczywistością, w jakiej żyła.

Doskonale pamiętała dzień, gdy Mattie zaprosił ją do swojego „domku na wsi”, jak nazywał Brookfield. Wjechali na podjazd przed dwupiętrowym domem. We wszystkich oknach odbijały się promienie zachodzącego słońca. Była zachwycona i sentyment do tego miejsca pozostał jej na zawsze.

Teraz nie było tu już Mattiego, natomiast Kane Healey tylko czekał, by wpędzić ją w kolejne kłopoty. Westchnęła i zaciągnęła hamulec ręczny. Przez frontowe drzwi weszła prosto do holu.

Wewnątrz panowała absolutna cisza. Zajrzała do salonu, potem przeszła do obszernej kuchni, której środek zajmował wielki drewniany stół.

Do diabła, gdzie on się podział? - pomyślała z niechęcią. Nie zamierzała bawić się w chowanego.

- Nadal zmęczona po wczorajszej podróży? - usłyszała nagle za plecami.

Podskoczyła zaskoczona.

- Tak - stwierdziła krótko.

- Pewnie wszystko sama spakowałaś?

- Dzięki temu teraz wiem, gdzie co jest - odparła.

Nie miała ochoty na przyjacielskie pogawędki.

Kane podszedł bliżej i spojrzał na nią badawczo.

- Bardzo słusznie, choć Stephen mógłby ci czasem pomóc.

Jej krótkie nieudane małżeństwo było kolejnym tematem, którego nie chciała omawiać.

- Wróćmy do zasadniczego tematu, dobrze? Nie sprzedam ci domu.

- Już coś wspominałaś na ten temat - rzekł z irytującym uśmiechem, jednak zanim zdążyła coś powiedzieć, wskazał ręką w stronę kuchenki. - Może kawy?

- Widzę, że czujesz się jak u siebie - zauważyła. - Nie krępuj się - dodała z ironią.

- Oczywiście. Podać ci filiżankę?

Jeśli chcesz mieć ją za chwilę na głowie, pomyślała.

- Dziękuję, piłam już kawę i jadłam śniadanie.

- Wiem, z Lizzie. Dla niej to musi być wielki dzień. Poszła do nowej szkoły - zauważył, przyglądając się jej, jakby chciał przejrzeć ją na wylot.

Wyprostowała się. Nie mogła znieść, gdy zaczynał mówić coś na temat jej dziecka.

- To zdaje się nie twoja sprawa, prawda?

Kane zamrugał powiekami, skrzyżował ręce na piersi i zastanawiał się przez chwilę.

- Jeśli o nią chodzi, naprawdę przesadzasz. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Skrzyżowała ręce, podobnie jak on.

- Właśnie się zastanawiam, skąd mi się to bierze - odpowiedziała zaczepnie.

- Ciekawe - przyznał.

Był dla niej uosobieniem zła, po prostu wcielonym diabłem. Na dodatek ubrał się na czarno: czarna koszulka polo, czarne dżinsy i buty. Nienawidziła go od lat, teraz zaś nie mogła znieść jego widoku. Pochyliła się, opierając dłonie na blacie stołu.

- Chcę, żebyś zniknął. Jeśli chcesz omówić warunki korzystania przeze mnie z twojej ziemi lub korzystania przez ciebie z moich zabudowań, możesz to zrobić za pośrednictwem prawnika.

Zdobył się na nieprzyjemny uśmiech.

- Nie wydaje ci się, że odrobinę przesadzasz? Zachowujesz się jak osoba zupełnie niedojrzała. Rozumiem, że denerwują cię uwagi na temat nadopiekuńczego traktowania córki...

Niedojrzała? Nadopiekuńcza? - pomyślała rozzłoszczona.

Spojrzała na niego, zaciskając zęby.

- Jestem nadopiekuńcza wyłącznie, jeśli chodzi o jej kontakty z tobą. Natomiast człowiek szybko robi się dojrzały, kiedy musi wychowywać dziecko.

- Rzeczywiście, urodziłaś dziecko w bardzo młodym wieku - stwierdził chłodno.

W tym momencie Rhiannon miała wielką ochotę walnąć go prosto w nos. Dotychczas nie zdawała sobie sprawy, że można kogoś tak bardzo nienawidzić!



- Kane, idź sobie stąd i nie wracaj. Nie pozwolę, żebyś skrzywdził Lizzie. Nie wyobrażaj sobie nawet przez chwilę, że nagle po latach będziesz odgrywał rolę dobrego tatusia...

- Dlaczego do cholery miałbym udawać jej tatusia? - spytał, przerywając jej. Opuścił ręce, zaciskając pięści. - Przecież ma ojca.

- Czyżby? Jej ojciec nie chciał mieć z nią nic wspólnego, jeszcze zanim się urodziła!

- Przecież się z tobą ożenił, prawda? To chyba dowód, że jak najbardziej chciał mieć z nią coś wspólnego.

Rhiannon cofnęła się gwałtownie, jakby ją uderzył.

- Tak to sobie wytłumaczyłeś? - zapytała i z niedowierzaniem pokręciła głową. Zdziwiła się, że ciągle nie potrafiła uodpornić się na jego słowa. - Po prostu stwierdziłeś, że to jakieś obce dziecko?

Tym razem naprawdę go zaskoczyła.

- O czym ty, do diabła, mówisz? - spytał, marszcząc czoło.

Zapadła cisza. Rhiannon czuła, że trzęsą się jej ręce. Złość tłumiona przez lata dała o sobie znać. Nagle rozległ się dźwięk staroświeckiego dzwonka, jednego z kilku umieszczonych nad drzwiami.

- To pewnie agent - odezwał się Kane.

- Świetnie. W takim razie porozmawiaj z nim, wychodząc. Nie ma potrzeby, żeby kręcił się po domu, który nie jest na sprzedaż.

Przez hol ruszyła w stronę biblioteki, ale Kane zastąpił jej drogę.

- O co ci chodziło z tym obcym dzieckiem? - spytał, chwytając ją za rękę.

Rhiannon uniosła głowę, by spojrzeć mu w oczy. Nie kryła niechęci, którą musiała tłumić przez tyle lat.

- Nie obchodzi mnie, co wymyśliłeś, żeby pozbyć się wyrzutów sumienia. Zrezygnowałeś z prawa do Lizzie już dawno temu. Jeśli teraz

szukałeś pretekstu, żeby ją odwiedzić, to nic z tego. Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby nie wiedziała o twoim istnieniu. Trzymaj się od niej z daleka. Jeśli ją skrzywdzisz, zabiję cię. Przysięgam. Lizzie nie zasługuje na to, żeby wiedzieć, jak wstrętnym typem jest jej ojciec.

Chciała się wyrwać z jego uścisku, ale mocniej zacisnęła palce.

- Chcesz powiedzieć, że Lizzie jest moim dzieckiem? - spytał z niedowierzaniem.

Spojrzała na jego zaciśniętą dłoń i zaklęła.

- Puść mnie!

- Jest moim dzieckiem? Rhiannon? - zawołał zmienionym głosem.

- Oczywiście. Jest twoją córką - oznajmiła i pokręciła głową. - Nie wiedziałeś o tym? Chyba żartujesz. Wysłałam ci list i wyjaśniłam wszystko bardzo jasno...

- Jaki list?

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

Dzwonek u drzwi hałasował natarczywie. Kane uwolnił jej rękę z uścisku i ruszył do wejścia. Rhiannon stała w drzwiach do biblioteki, oparta o framugę. Starła się pozbierać myśli po tym, co usłyszała.

Kane zachował się tak, jakby naprawdę był kompletnie zaskoczony. Na dodatek najwyraźniej miało to dla niego ogromne znaczenie. Jednak ona nie chciała w to uwierzyć. Jak mógłby nie wiedzieć? - powtarzała sobie w myślach, choć jego zdumiona mina świadczyła o tym, że niczego nie udawał. A przecież ona przez lata wierzyła, że...

Pokręciła głową. To musi być jakaś gra z jego strony. Wmówił sobie to, co było mu na rękę.

- Nigdzie nie idź! - usłyszała głos z holu. - Naprawdę musimy dłużej ze sobą porozmawiać.

Obejrzała się przez ramię. Szedł w jej stronę z miną człowieka, który nie da się zbyć byle czym.

- Co z tym agentem? - zapytała.

- Powiedziałem, że umówimy się na inny termin. On może poczekać, a ta sprawa nie!

Rhiannon nie miała ochoty na rozmowę. Poczowała nagle, obezwładniające zmęczenie. Sytuacja była nierzeczywista. To, co do tej pory wydawało się oczywiste, nagle nabrało innego wymiaru.

- Chodźmy do salonu. Nie ma sensu rozmawiać w korytarzu - powiedział.

Zaczeźnie uniosła głowę. Usiłuje nią rządzić w jej własnym domu!

Minęła go i ruszyła przed siebie.

- W pokoju z kominkiem jest zaciszniej - stwierdziła. - Idealne miejsce do kłótni - dodała.

Przyjeżdżając tu, nie spodziewała się żadnych gości, a w ciągu ostatniej doby ruch był ożywiony.

Wielki kominek z łukowatym sklepieniem nie był używany od wielu tygodni i w pokoju panował chłód. Rhiannon stanęła tyłem do kominka i obserwowała Kane'a. Zamknął drzwi i podszedł do okna z widokiem na ogród. Spojrzał na nią z niechęcią i zaczął nerwowo spacerować po pomieszczeniu.

Rhiannon spokojnie czekała. Zastanawiała się, jaką taktykę zamierzał przyjąć.

- Powiedz mi coś więcej o tym rzekomym liście.

Wytrzeszczyła na niego oczy.

- Rzekomym? To ma być żart?

Zatrzymał się i spojrzał na nią z irytacją.

- Naprawdę sądzisz, że mam teraz ochotę do żartów?

- Dobrze wiesz, o czym mówię! Natomiast nigdy nie zdobyłeś się na choćby odrobinę uprzejmości, żeby cokolwiek odpowiedzieć. Nawet gdybyś miał stwierdzić, że nie chcesz uznać tego dziecka.

Już dawno przestała się zastanawiać, dlaczego tak postąpił. Teraz za nic na świecie nie chciała przyznać, że nadal ma to dla niej znaczenie.

Kane zaklął głośno.

- Naprawdę myślisz, że tak bym postąpił?

- Skąd mam to wiedzieć? Wtedy stało się dla mnie jasne, że zupełnie cię nie znałam! - oświadczyła.

Kane spojrzał na nią, jakby zasłużyła na porządne lanie. Oparł dłonie na oparciu kanapy i wziął głęboki oddech. Po chwili ze zmarszczonym czołem znów zaczął krążyć po pokoju.

- Dokąd wysłałaś ten list? - spytał w końcu, nerwowo przeczesując włosy.

- Włożyłam go do twojej szafki na uniwersytecie - wyjaśniła, choć uważała, że Kane w ogóle nie zasługuje na odpowiedź. - Wsunęłam przez szparę w drzwiach. Nie wmówisz mi więc, że zginął na poczcie. Natomiast szafkę musiałeś opróżnić, zanim stamtąd się wyniosłeś.

Odetchnęła głęboko i pokiwała głową.

- To już przeszłość. Teraz nie ma znaczenia, dlaczego nie chciałeś znać własnego dziecka. Natomiast dla mnie jest bardzo ważne, żebyś nie skrzywdził Lizzie. Wyłącznie na tym mi zależy.

Kane przestał marszczyć czoło.

- Po wyjeździe zadzwoniłem z prośbą, żeby opróżnili moją szafkę. Nie miałem tam nic wartościowego, więc pozwoliłem im zatrzymać książki, a resztę wyrzucić.

Co on mi tu opowiada? - pomyślała Rhiannon i szeroko otworzyła oczy. Starła się skupić.

Kane patrzył na nią bez słowa.

- Naprawdę teraz, po dziesięciu latach, próbujesz mi wmówić, że nigdy go nie dostałeś? Na pewno stać cię na lepszą historyjkę - stwierdziła, przyglądając mu się uważnie.

Czy to możliwe? Nie dostał listu... Od lat była przekonana, że... Nad tym listem zastanawiała się całymi dniami. Potem stała niepewnie przed szafką Kane'a, przekonując samą siebie, że powinien znać prawdę. Jeszcze później doszła do wniosku, że kompletnie ją zignorował, i zaczęła go nienawidzić.

A może istotnie nie dostał tego listu?

- Nigdy nie przyszło ci do głowy, że jeśli nie zareagowałem, to dlatego, że nie miałem o niczym pojęcia?

Przeszedł ją dreszcz. Usiadła na miękkim krześle obok wygasłego kominka i objęła kolana splecionymi dłońmi. Niechętnie pogodziła się z prawdą.

- Być może nie wiedziałeś na samym początku. Jednak potem gdzieś przepadłeś...

- Uznałaś, że szkoda fatygi. Do diabła z nim! - pomyślałaś i nie szukałaś mnie więcej.

- Nieprawda! - stwierdziła i spojrzała mu w oczy z wyrzutem. Nie dopuszczała do siebie myśli, że sama ponosi winę za lata samotności. - To ty zmieniłeś się z dnia na dzień w innego człowieka i wyjechałeś bez słowa. Miałam osiemnaście lat, żadnych perspektyw na dobrą pracę, no i byłam w ciąży. Jeśli uważasz, że w tej sytuacji chciałam zostać samotną matką, to lepiej wróć na ziemię.

- Jednak zdecydowałaś się urodzić.

Milczała. Nigdy nie przyszło jej do głowy, by pozbyć się dziecka, choć przyszłość ją przerażała. Nie chodziło jej o to, by mieć przy sobie żywe wspomnienie Kane'a. Byli ze sobą zbyt krótko, by wytworzyła się między nimi jakaś bliskość. Po prostu od chwili, gdy test ciążowy wypadł pozytywnie, stwierdziła, że to wyłącznie jej dziecko. Za wszelką cenę starała się zapomnieć, kto jeszcze miał w tym udział.

- Już wcześniej stwierdziłeś, że nie chcesz się z nikim wiązać. Kiedy nie odpowiedziałeś na ten list, było dla mnie jasne, że nie poczuwasz się do odpowiedzialności. Nie możesz być zaskoczony, że wyciągnęłam takie wnioski. Nie zamierzałam gonić cię gdzieś po świecie i błagać o jałmużnę. Zdecydowałam się ją urodzić, więc troska o jej potrzeby również spadła na mnie.

Oczywiście to bardzo uproszczona wersja, ale widząc jego niedowierzające spojrzenie, nie miała ochoty na wyjaśnianie szczegółów. Najwyraźniej nie rozumiał motywów jej postępowania.

- Jako ojciec mam do niej pewne prawa - odezwał się nagle.

- O co ci chodzi? - spytała, coraz bardziej roztrzęsiona.

- Rhiannon, jeśli Lizzie jest moim dzieckiem, a ty byłaś z nią sama przez prawie dziesięć lat...

Niemożliwe, żeby chciał...

- Nie pozwolę, żebyś mi ją odebrał - wydusiła słabym głosem.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że dzięki pieniądзом mógłby załatwić wiele spraw. Jednak była zdecydowana walczyć do upadłego.

- Za kogo ty mnie masz? Oczywiście, że nie zamierzam zabierać dziecka jego własnej matce! Natomiast mam prawo spędzać czas z Lizzie i uczestniczyć w jej życiu. Pozbawiłaś mnie tego prawa. Jak mogłaś sądzić choćby przez chwilę, że przejdę nad tym do porządku dziennego?

Rhiannon skrzyżowała ręce na piersiach, jakby chciała w ten sposób powstrzymać ogarniające ją drżenie.

- Wiedziałaś, że miałam dziecko. Można o tobie powiedzieć wiele złego, ale głupi na pewno nie jesteś. Chyba potrafisz liczyć?

Kane zacisnął zęby.

- Wyszłaś za Stephena - stwierdził.

Rhiannon wytrzeszczyła na niego oczy.

- Według ciebie to oznacza, że był ojcem Lizzie?

- Nie tylko ja tak uważałem.

Cudownie, pomyślała. Być może nie byli wtedy zakochani w sobie bez pamięci, ale Kane najwidoczniej uznał, że w minutę po rozstaniu pognęła do łóżka z innym mężczyzną. Może nawet sypiała z nimi na przemian? Miał więc

o niej dość jednoznaczną opinię. Czyżby dlatego, że była biedna, a on pochodził z zamożnej rodziny? Poczula do niego niechęć. Nie mogła dłużej znieść jego obecności w tym samym pomieszczeniu.

Wyprostowała się i opuściła ręce.

- Jeśli uważasz mnie za pierwszą lepszą, to rzeczywiście mogę się mylić co do ojca. Muszę jeszcze raz przejrzeć spis facetów, z którymi wtedy sypiałam.

Odwróciła się, by wyjść, ale w tej samej chwili Kane chwycił ją za rękę i lekko przyciągnął ją do siebie. Oparła się o niego, by nie stracić równowagi. W ciągu ostatniej doby już kilka razy znalazła się w takiej sytuacji. I tym razem przeszedł ją dreszcz. Objął ją, nie pozwalając odejść.

- Muszę wiedzieć, czy jest moja - odezwał się.

Rhiannon nerwowo przełknęła ślinę. Gdy był tak blisko, czuła jego zapach i traciła pewność siebie. Właśnie fizyczne pożądanie zbliżyło ich kiedyś do siebie. Jednak teraz miała więcej rozsądku. Zdawała sobie sprawę, że związku między mężczyzną a kobietą na fizycznej bliskości się nie zbuduje.

Powoli uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Chciała znaleźć odpowiedź na dręczące ją pytanie, czy rzeczywiście powinna mu wierzyć.

- Możesz sobie myśleć, co chcesz - powiedziała cicho. - Nie miałam nikogo innego. Lizzie jest twoją córką bez najmniejszych wątpliwości.

Gdyby nawet były, to właśnie Kane jest żywym dowodem jej prawdomówności. Podobieństwo Lizzie do ojca od dawna rzucało się w oczy. Każdego dnia zdarzały się chwile, gdy drobne gesty, słowa i uśmiech przypominały Rhiannon, że tak właśnie zachowywał się Kane. Jednak zbyt mocno kochała córkę, by wzbudzać w sobie niechęć do takich zachowań.

Kane odetchnął. Lekko zwolnił uścisk.

- Powinnaś była mi powiedzieć - odezwał się.



- Byłam przekonana, że to zrobiłam.
- Niestety, nie. Gdybym wiedział, byłbym przy tobie.
- Ale przecież wyjechałeś już wcześniej.

Nie odpowiedział, więc znów uniosła wzrok. Stał przed nią z zamkniętymi oczami. Potem nagle puścił ją i cofnął się, wkładając ręce do kieszeni dżinsów.

- Teraz tu jestem i nigdzie nie pójde, dopóki nie poznam własnego dziecka.

Obserwowała go z namysłem. Trudno jej było zaakceptować fakt, że być może popełniła błąd. Zasklepiła się w nienawiści, jakby cierpienie przysłoniło jej zdrowy rozsądek. Niemożliwe, pomyślała po chwili. Jak mógł nie wiedzieć o dziecku?

Kane pochylił głowę w jej stronę.

- Chciałem cię uprzedzić, że nie zamierzam spierać się w tej sprawie. Po prostu tym razem nie wyjadę.

Rhiannon poczuła ucisk w sercu.

- Nie możesz tak wyskoczyć nie wiadomo skąd i nagle rzucić się na nią...  
- zaczęła.

Uśmiechnął się lekko.

- Czy w ogóle zamierzałaś kiedykolwiek powiedzieć jej o mnie? -  
zapytał.

- Tak, kiedy będzie na tyle starsza, żeby mogła sama zdecydować, czy chce cię poznać. To byłaby jej decyzja, nie moja.

- Nie sprowokowałabyś jej do pytań?

Cóż, pewnie unikałaby tego tematu. Natomiast Lizzie była bystra i już dawno pytała o ojca. Co roku w Dniu Ojca ten problem wracał. Gdy miała

sześć lat, przygotowała nawet kartkę z życzeniami i rysunkami dla tatusia. Rhiannon poczuła się wtedy winna, że dziecko nie miało pełnej rodziny.

- Ona ma takie samo prawo wiedzieć jak ja - dodał Kane, gdy nie odpowiedziała na pytanie.

Wyraźnie nie zamierzał się poddać. Ciekawe, czy zależałoby mu tak na kontakcie z córką, gdyby wiedział o niej od początku? Czy jego upór jest dowodem, że nie miał pojęcia o istnieniu córki?

Rhiannon coraz szybciej traciła przekonanie do swoich racji. Zamiast złości czuła teraz żal. Zastanawiała się nawet, czy w głębi duszy nie domyślała się takiego obrotu sprawy.

Kane stanął bliżej niej.

- Rhiannon, jeśli nie powiesz jej, kim jestem, sam to zrobię. Chyba że wolisz załatwić to przez sąd. W każdym razie teraz, kiedy już wiem, że jest moja, chcę uczestniczyć w jej życiu. Nic na to nie poradzisz. Nie tym razem - stwierdził dobitnie.

Rhiannon poczuła się jak w pułapce. Kane na pewno nie zamierza zmienić zdania. Już dawniej słyszała o tym, jak bywał zdeterminowany i nieustępliwy w interesach. Potrafił w końcu dopiąć swego. Przecież ona swego czasu też stała się jego zdobyczą. Gdyby nawet uciekła teraz z Brookfield, nie miałyby to znaczenia. Znał prawdę i szukałby dziecka nawet na końcu świata.

Pomyślała, że przynajmniej należy uniknąć dalszych nieszczęść. Spotkanie powinno być w miarę bezbolesne.

- Potrzebuję trochę czasu - powiedziała.

- Miałaś na to dziesięć lat - zauważył.

- Powiem jej - rzekła z nieszczęśliwą miną. - Ale nie odbędzie się to tak, że pojedę po nią do szkoły i wyrecytuję wszystko prosto z mostu. Na razie

oswaja się z nowym domem, szkołą, koleżankami, śmiercią ukochanego wujka... Nie mogę do tych przeżyć dołożyć jeszcze ojca.

Zacisnął zęby i niespokojnie się poruszył, jakby nieświadomie szykował się do walki. Rhiannon wyprostowała się.

Spodziewała się mnóstwa argumentów. Jednak Kane cofnął się lekko i rzekł spokojnie:

- Zostanę tu, żeby choć trochę przyzwyczała się do mojej obecności.

Rhiannon wytrzeszczyła oczy.

- Nie możesz...

- Czyżby? - spytał, marszcząc brwi. - Możemy przeprowadzić to spokojnie albo walczyć do upadłego. Sama zdecyduj, co dla niej lepsze. Szczerze mówiąc, w tej chwili jest mi to zupełnie obojętne.

Wyobraziła sobie długotrwałe postępowanie sądowe i reakcję córki. To nie miałyby sensu, pomyślała. Kane spojrzał na nią, jakby potrafił czytać w myślach.

- Jeśli sprawa trafi do sądu, wezmę najlepszych prawników i nie poddam się, choćby miało to trwać całe lata - zapowiedział.

Rhiannon doskonale zdawała sobie sprawę, że byłoby go stać na pokrycie wszelkich kosztów. Czują, że traci grunt pod nogami.

- Pójdę zadzwonić - dodał po chwili. - Przyślą mi z Dublina niezbędne rzeczy. Muszę zorganizować tu sobie miejsce do pracy.

Tak po prostu? - pomyślała zaskoczona. Już zdecydował, że się wprowadza?

- Spędzę z nią trochę czasu, gdy wróci ze szkoły - oświadczył.

Zamieszka pod tym samym dachem, a ja będę mogła tylko przyglądać się z boku, jak dogaduje się z Lizzie, pomyślała Rhiannon.

- Potem powiesz jej, kim jestem - dodał po chwili.

W końcu odzyskała głos.

- Nie możesz postępować z nią w ten sposób. Musisz spróbować być dla niej miły.

Kane wybuchnął śmiechem, jakby nie wierzył w to, co właśnie usłyszał.

- Dlaczego miałbym być niemiły? Ona nie ukrywała przede mną wiadomości, że jestem ojcem.

Rhiannon pokręciła głową. Dotarło do niej, że najlepiej będzie pogodzić się z tym, co nieuniknione.

- Doskonale. Widzę, że nie mam wyboru. Szczerze mówiąc, nie zamierzam kłócić się z kimkolwiek, kto mieszka pod moim dachem, nawet jeśli jest tu tylko chwilowo - oświadczyła.

- Co to ma znaczyć?

- Upierasz się, żeby tu zostać, więc będę musiała wszystko jej wyjaśnić. Nie zamierzam biegać po sądach. Jednak najpierw powinna spędzić z tobą trochę czasu. Przyzwyczać się do ciebie. Chodzi mi o jej dobro, a nie o moje.

- Nie będziemy zwlekać z tym całymi miesiącami, ani nawet tygodniami - stwierdził. - Mówię o kilku dniach. Jeśli nie porozmawiasz z nią w tym tygodniu, to ja to zrobię.

Rhiannon przymknęła oczy. W tym momencie miała wielką ochotę uciec z tego miejsca. Jednak gdy przyjechały do Brookfield, przyrzekła sobie, że to ostatnia przeprowadzka w ich życiu.

Otworzyła oczy i poczuła na sobie spojrzenie Kane'a. Przyglądał się jej ze zmarszczonym czołem, ale w jego spojrzeniu nie było złości. Zastanawiał się nad czymś z widocznym niepokojem, jakby bardzo zależało mu na rozwiązaniu skomplikowanej zagadki. Rhiannon przyłapała się na tym, że obserwowanie jego zachowań zaczęło jej sprawiać przyjemność.

Na chwilę zapomniała o konfliktach. Starła się odgadnąć, czy teraz jest z nią szczerzy. Dlaczego przed laty wyjechał bez słowa? Co powodowało, że ciężko pracował i osiągał kolejne sukcesy, podczas gdy mógł prowadzić leniwe życie, korzystając z pieniędzy rodziny? Jaki naprawdę jest Kane Healey?

Jednak przede wszystkim chciała wiedzieć, czy może być takim ojcem, na jakiego zasługuje Lizzie. Miała nadzieję, że tak. Teraz wkracza w ich życie. Rhiannon zdawała sobie sprawę, jak trudne może się okazać przystosowanie do tej sytuacji. Cóż, im szybciej będzie miała to za sobą, tym szybciej on wyjedzie, pocieszyła się.

- Powiem jej, kiedy tylko oswoi się z tobą - powiedziała, unikając jego wzroku. - Jednak w żadnym wypadku nie możemy kłócić się przy niej. Jeśli będziesz chciał mi coś powiedzieć, zrób to podczas jej nieobecności. Nie może cierpieć przez to, że my się nie lubimy.

Kane przeszedł obok, lekko ocierając się o jej ramię, co wywołało w niej dreszcz.

- Dotąd nie miała ojca, więc już nauczyła się cierpieć. Nie sądzisz? - spytał, wychodząc.

Rhiannon została sama w zimnym pokoju. Czuła wewnętrzną pustkę. Zdziwiła się, że nie ma ochoty nawet popłakać w samotności.

Westchnęła. Właściwie od dawna przeczuwała, że taki dzień nadejdzie. Cóż, teraz należy zastanowić się nad rozmową z Lizzie i jakoś ułożyć sobie codzienne życie pod jednym dachem z człowiekiem, którego nienawidziła przez dziesięć lat.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Kane wyjrzał przez oszkloną ścianę gabinetu na rzekę Liffey. Niebezpiecznie kołysał się na krześle, stukając palcami w blat biurka. Po raz pierwszy od wielu lat czuł się przybity. Wiadomość, że jest ojcem, była dla niego zaskoczeniem. Natomiast świadomość, że Rhiannon przez lata utrzymywała to w tajemnicy, wyprowadzała go z równowagi.

Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio był na kogoś tak zły. Uważał siebie za spokojnego i zrównoważonego człowieka. Cóż, życie jest zbyt krótkie, by niepotrzebnie przejmować się każdym drobiazgiem, twierdził. Jak mogło jej przyjść do głowy, że dziecko zupełnie go nie obchodzi? Czy naprawdę nie wiedziała, jakim jest człowiekiem?

Naprawdę sądziła, że mógłby po prostu odejść w takiej sytuacji? Do diabła!

- Właściwie oferta jest gotowa - odezwał się prawnik zatrudniony w jego firmie. Stał nieco z tyłu i od dłuższej chwili starał się przekazać mu opinię na temat ważnego kontraktu. - Akcjonariusze z tobą na czele mogą zarobić na tym fortunę.

Kane zmusił się do skupienia na jego słowach.

- Jeśli zagłosują za przyjęciem tej umowy.

- Cóż, negocjacje w sprawie szczegółów mogą ciągnąć się jeszcze przez kilka miesięcy. Jednak mogę się założyć, że akcjonariusze się zgodzą - stwierdził prawnik.

Kane nadal kołysał się na krześle, odpływając gdzieś myślami. Nie jest to dobry okres, by zostawiać firmę bez nadzoru, ale... Od lat nie miał na głowie nic ważniejszego niż praca, teraz zaś chciał poznać własne dziecko. Potrafił

poradzić sobie z gigantycznymi kontraktami, kaprysami udziałowców, zakusami konkurencji i próbami przejęcia firmy. Natomiast straconego czasu z dzieckiem już nigdy nie nadrobi. Świadomość tego nie dawała mu spokoju.

Jak Rhiannon mogła spojrzeć sobie w oczy? Przecież odebrała swojej córce ojca!

- Kane, taka oferta zdarza się raz w życiu. Ilu ludzi dorobiło się milionów własnym wysiłkiem? Masz dopiero trzydzieści dwa lata, a już otwiera się przed tobą taka możliwość... - mówił prawnik.

Kane wziął głęboki oddech.

- Owszem, przejęcie firmy oznacza zyski dla akcjonariuszy. Jednak jak można spokojnie patrzeć, kiedy coś, czemu poświęciło się kawałek życia, zostaje podzielone na kawałki, żeby mogła to połknąć międzynarodowa korporacja? - powiedział i odwrócił się na krześle. Spojrzał tamtemu w oczy. - Oddanie kontrolnego pakietu akcji oznacza, że wkrótce mnóstwo ludzi straci pracę. Naprawdę trudno mi się z tym pogodzić.

Dla Kane'a ludzie byli najważniejsi. Z tym większą goryczą myślał o Rhiannon, która nie doceniała wartości rodziny.

- Cóż, to prawda - przyznał prawnik.

Starszy pan był zaskoczony kompletnym brakiem entuzjazmu ze strony Kane'a.

- Ale świat tak już jest urządony. Codziennie ktoś gdzieś traci pracę.

Kane patrzył na niego w zamyśleniu. Przypomnił sobie początki firmy. Stworzył ją właściwie z niczego. Znalazł niewielką grupę inwestorów, a Mattie Blair wspierał go najlepiej, jak potrafił. Potem firma rozrosła się do tego stopnia, że konkurencja poczuła się zagrożona i zaproponowała wykup na bardzo korzystnych warunkach. Oczywiście, mógłby machnąć ręką na los

pracowników, ale jak potem spojrzeć sobie w oczy? Teraz, gdy dowiedział się, że ma córkę, tym bardziej zależało mu na szacunku do samego siebie.

Odwrócił się w stronę okna, starając się nie patrzeć na Uniwersytet Trinity, gdzie pierwszy raz spotkał Rhiannon. Być może nie miało sensu staranie, by stać się ojcem, z którego dziecko mogło być dumne. Przecież jego córka nie miała pojęcia o istnieniu ojca przez długie dziesięć lat. Jednak Kane chciał być dobrym ojcem, a przede wszystkim nadrobić lata, które powinni spędzić razem.

Zmarszczył czoło. Może powinien był się wszystkiego domyślić? Dlaczego tak pochopnie uwierzył, że Rhiannon natychmiast znalazła sobie wtedy kogoś innego? Cóż, był to okres, kiedy starał się poradzić sobie z problemami, zżerała go złość, gorycz i lęk. Natomiast Rhiannon uważała, że wystarczy napisać list, a problemy rozwiążą się same.

Dość wspomnień. Trzeba skupić się na teraźniejszości. Najlepiej ułożyć plan. To zawsze dodaje pewności siebie i człowiek ma przynajmniej złudzenie, że panuje nad sytuacją. Więc po pierwsze, przejęcie firmy oznacza prawdziwą tragedię dla wielu pracowników i ich rodzin. Nie może do tego dopuścić, jeśli chce zasłużyć na szacunek własnego dziecka. Po drugie, jego opinia powinna być od razu jasna dla wszystkich w zarządzie firmy.

Chciał jak najszybciej wrócić do Brookfield. Starał się zrozumieć motywy postępowania Rhiannon, a jednocześnie nie wyobrażał sobie, że mógłby jej wybaczyć odseparowanie go od własnej córki. Cóż, postara się przynajmniej jakoś się z nią porozumieć. Ostatecznie jest matką jego córki.

- Każde dziecko powinno mieć psa, prawda, Kane?
- Ale nie każde ma.
- To prawda, ale powinno.



Kane uśmiechnął się do niej. Miał więcej cierpliwości, niż sądził.

- Łatwo się nie poddajesz - stwierdził.

Lizzie wzruszyła ramionami.

- Mama mówi, że jestem uparta jak mój tata. Podobno to dobrze.

Skinął głową.

- To pomaga osiągnąć coś w życiu.

- Więc ja potrzebuję psa i kucyka - oświadczyła stanowczo, podając mu kolejne pudło po wypakowanych rzeczach.

- Myślisz, że mama ci je kupi, jeśli pomęczysz ją wystarczająco długo?

- Tak, jak nie będą za drogie. Nie jesteśmy bogate - przyznała, marszcząc nos.

Kane zareagował głośnym śmiechem na tak otwartą szczerość. Był zachwycony Lizzie. Jak Rhiannon mogła trzymać go z daleka od tego dziecka? Pierwszy uśmiech, pierwszy krok i słowa... Już nie ma szans, by przy tym być. Minęło zaledwie kilka dni od poznania Lizzie, a on ciągle żywił żal do Rhiannon. Starał się spędzać z córką jak najwięcej czasu. Bardzo dużo rozmawiali.

Teraz przyszło mu coś do głowy. Zacisnął zęby, ale zdobył się na nonszalancki ton.

- Tata nie kupił ci psa ani kucyka? - spytał.

Lizzie pokręciła głową.

- Masz na myśli Stephena? Chciał odesłać mnie do szkoły z internatem.

Nie pozwolił na żadne zwierzęta w domu, a mama nie zgodziła się na internat.

Lepiej jest bez niego, tylko mama i ja. Z psem i kucykiem byłoby jeszcze lepiej, po prostu doskonale.

Lizzie opowiadała wszystko ze szczegółami. Dyskrecja nie była jej mocną stroną.

Kane z ulgą zdał sobie sprawę, że dotychczas prawdopodobnie nikogo nie nazywała tatą.

- Nazywałaś go Stephen? - upewnił się.

- Tak. - Skrzywiła się na chwilę, wyciągając z kartonu stertę pism o kucykach. - Mama tak do niego mówiła. - Zachichotała i pochyliła się do Kane'a. - Mówiła też o nim różne brzydkie słowa, jak myślała, że nie słyszę - dodała szeptem.

Kane roześmiał się pod nosem. W tej sprawie zgadzał się z Rhiannon najzupełniej. Stephen był typem, który działał mu na nerwy.

Ze stertą złożonych pudeł wyszedł z pokoju tuż za Lizzie. Odwróciła się, by sprawdzić, czy nie został, i zwolniła kroku. Dogonił ją.

- Kane, masz dzieci? - zapytała.

Na chwilę wstrzymał oddech. Pytanie jest z pozoru niewinne, ale jak na nie odpowiedzieć? - zastanawiał się gorączkowo. Nic mi o tym nie wiadomo? Bez sensu. Szkoda, że Rhiannon jeszcze nie rozmawiała z Lizzie na ten temat. Do diabła!

- Jesteś żonaty? - padło następne pytanie.

- Zadajesz strasznie dużo pytań - zauważył. - Czy nie powinienem poprosić o pomoc mojego adwokata? - zażartował, żeby zyskać na czasie.

Lizzie przystanąła się na szczycie schodów i odwróciła się do niego, poprawiając włosy. Miały taki sam kolor jak jego, a jej oczy też były identyczne.

- Dlaczego miałbyś potrzebować adwokata? Też się rozwodzisz?

- Nie. Nie byłem i nie jestem żonaty. Mówię to na wypadek, gdybyś wyciągnęła ze mnie jakieś tajne informacje i potem szukałaby mnie policja.

Zrobiła wielkie oczy.

- Szukają cię jak jednego z tych w telewizji?

Wybuchnął gromkim śmiechem.

- Byłbym wtedy bardziej interesujący? - spytał.

- I tak jesteś interesujący - powiedziała rezolutnie, uśmiechnęła się i ruszyła na dół.

- Dziękuję - powiedział z dumą.

- Stephen też tak myśli. Często wypytywał mamę o ciebie.

Nic w tym dziwnego, uznał.

- Ja i Stephen jesteśmy znajomymi - wyjaśnił. - Pewnie chciał wiedzieć, co u mnie słychać.

Lizzie lekko przechyliła głowę.

- Właściwie kto to jest zdeterminowany cwaniak? - zapytała.

Kane przybrał niewinną minę.

- Kto?

- Stephen tak o tobie mówił. Jeszcze coś o wyniosłym, aroganckim...

- Lizzie? - rozległ się w korytarzu znajomy głos.

Dwie pary oczu jednocześnie odwróciły się w kierunku Rhiannon. Kane rzucił jej niechętne spojrzenie, natomiast Lizzie złożyła krótkie sprawozdanie.

- Cześć, mamó. Właśnie rozpakowaliśmy moje rzeczy. Kane pomógł mi znieść puste pudła.

- To bardzo uprzejmie z jego strony - stwierdziła Rhiannon. Zauważyła jego wzrok pełen złości i szybko spojrzała na córkę. - Co mówiłaś Kane'owi? - spytała.

Lizzie wzruszyła ramionami.

- Rozmawialiśmy o Stephenie.

Rhiannon nerwowo przełknęła ślinę.

- Rozumiem.

- Kane mówi, że kiedyś się przyjaźnili - stwierdziła Lizzie.

Rhiannon wysoko uniosła brwi.

- Przyjaźnili się? - powtórzyła zdziwiona.

- Powiedziałem, że znaleźliśmy się - wyjaśnił, starając się o beztroski ton.

Lizzie spojrzała zaskoczona.

- Nie byliście przyjaciółmi?

Kane zmusił się do uśmiechu.

- Szczerze mówiąc, nie.

- Dlaczego? - dopytywała się Lizzie.

Kane wziął głęboki oddech.

- Tak już jest, że znamy mnóstwo ludzi, ale nie ze wszystkimi się przyjaźnimy.

- Przecież w szkole jest tak samo - wtrąciła Rhiannon. - Nie przyjaźnisz się z każdym dzieckiem.

Kane spojrzał na Rhiannon. Domyślił się, że chciała uniknąć rozmowy, z której mogłoby wyniknąć, że znają się od dawna i że ich coś łączyło.

Tymczasem Lizzie ciężko westchnęła.

- Mama jest dalej na mnie zła, bo popchnęłam Sarę McCracken i ona upadła.

- Dziewczynki nie powinny popychać i przewracać koleżanek, nawet jeśli usłyszą od nich coś, z czym się nie zgadzają - przypomniała Rhiannon.

Kane uśmiechnął się lekko.

- Co ci powiedziała Sara?

Lizzie wzruszyła ramionami.

- Powiedziała, że gram w piłkę z chłopakami, bo chcę, żeby mnie lubili.

Kane z trudem powstrzymał śmiech.

- Rzeczywiście tak jest? - spytał.

- Lepiej uważaj, co mówisz, bo Lizzie wygląda jak słodkie niewiniątko, ale ma charakterek - wtrąciła Rhiannon.

Lizzie zachichotała, na co Kane odpowiedział uśmiechem.

- Żeby przewrócić Kane'a, musiałabym najpierw trochę urosnąć. Przecież on jest ogromny!

- Bez przesady - powiedział, niosąc kartony w stronę tylnych drzwi. - My, pracownicy biurowi, jesteśmy wyjątkowymi zdechlakami. Założę się, że poradziłabyś sobie ze mną w sekundę.

Rhiannon spoglądała na niego spod przymkniętych powiek. On i zdechlak? Akurat! Kiedyś widywała go codziennie. Nie miał cukierkowej urody jak z reklamy, ale dobrze pamiętała, że był męski, interesujący i seksowny. Przynajmniej dla niej.

- To trzeba wyrzucić do pojemnika - zawołała za nim Lizzie.

Kane uśmiechnął się do niej.

- Dobrze, proszę pani.

- Nie można zaśmiecać naszej planety - wyjaśniła Lizzie.

- Oczywiście - odparł.

Rhiannon patrzyła na nich z zazdrością. Doskonale się dogadywali, a Lizzie traktowała Kane'a z bezgranicznym zaufaniem. Teraz, wychodząc, spojrział na Rhiannon ironicznie. Nie przejęła się, natomiast wyobraziła sobie, jak mogłaby się czuć, gdyby patrzył na nią tak jak na Lizzie.

Wygląda na to, że Kane obwiniał ją o całą sytuację. Jednak to nie ona pewnego dnia zniknęła bez śladu. Jeśli czasem dobrze o niej myślał, to bez trudu mógł się zorientować, że dziecko jest jego. Oczywiście nie wiedział, że była w ciąży, gdy z nią zerwał, ale to niczego nie zmieniało. Cokolwiek zmiotło go wtedy z powierzchni ziemi, musiało być absolutnie nie do odparcia.

- Czy jest jeszcze coś do wyniesienia? - usłyszała jego głos i otrząsnęła się z zadumy.

- Nie, ale dzięki, że zapytałeś.

- Możemy teraz coś zjeść? - spytała Lizzie. Uklękła na jednej z długich ław stojących przy ogromnym stole. - Po prostu umieram z głodu.

- Zawsze masz ochotę na jedzenie - zauważyła Rhiannon z pobłażliwym uśmiechem.

- Kane też umiera z głodu - stwierdziła dziewczynka i spojrzała na niego znacząco. Uniosła brwi, dając do zrozumienia, że powinien ją poprzeć. -

Prawda, Kane?

- Z tym umieraniem to gruba przesada - rzekł dyplomatycznie.

Rhiannon spojrzała odruchowo na jego wysportowaną sylwetkę, płaski brzuch i szerokie barki. Zauważył to i uśmiechnął się lekko. Rhiannon szybko odwróciła wzrok.

- Kane na pewno ma dużo spraw do załatwienia i nie będzie siedział tu z nami przez cały dzień - powiedziała.

Chciała choć przez chwilę pobyc z córką bez jego krępującej obecności.

- Nie, zrobiłem już wszystko, co na dziś zaplanowałem - oznajmił. - Jestem do waszej dyspozycji.

Miała ochotę udusić go tu i teraz.

- Jeszcze za wcześnie na kolację, a poza tym mamy sporo rzeczy do wypakowania - powiedziała zgodnie z prawdą.

- Ja coś przygotuję - zaproponował.

Wytrzeszczyła na niego oczy.

- Ty?

- Kiedyś zasłynąłem z rzadkiego talentu do robienia jajecznicy - pochwalił się.

- Nie ma takiej potrzeby - stwierdziła.

Nie wyobrażała sobie, że co wieczór będą zasiadać do wspólnej kolacji, odgrywając rolę szczęśliwej rodziny.

- Macie sporo pracy z urządzeniem się, więc chętnie bym się na coś przydał. Lizzie pewnie mi pomoże. Zresztą nie możemy dopuścić, żeby Lizzie zagłodziła się na śmierć - zakończył, spoglądając z uśmiechem na córkę.

Lizzie pomasaowała sobie brzuch z dramatycznym westchnieniem.

- Pewnie zaczęłam szybciej rosnać. Mamo, co by się stało, gdybym nie jadła tego wszystkiego, co jest potrzebne, żeby rosnać?

- Zostałabyś już taka mała - stwierdziła Rhiannon z poważną miną i spojrzała na Kane'a. - Naprawdę nie powinieneś przygotowywać dla nas posiłków. Wystarczy, że nie będziemy sobie wzajemnie przeszkadzać w czasie twojego pobytu u nas.

- Można też spędzić czas wspólnie, żeby lepiej się poznać po tylu straconych latach - powiedział i na chwilę zawiesił głos dla efektu. - Nie rób wielkiego problemu. Po prostu przygotuję omlet.

- Nie robię problemu - oświadczyła, co nie było zgodne z prawdą.

Nie miała najmniejszej ochoty na wspólne prowadzenie domu.

Kane spojrzał na nią uważnie i spokojnie skrzyżował ręce na piersi.

- Czyżby? - zapytał.

- Ostatnio spędziliśmy razem kilka wieczorów, ale jeśli dziś coś ugotujesz, to jutro będziesz oczekiwał rewanżu i tak na przemian.

- Według ciebie to nie ma sensu?

- Zawsze mówiłaś, że jeśli ludzie sobie pomagają, to praca idzie szybciej - wtrąciła Lizzie, ale Rhiannon zlekceważyła własne dobre rady.

- Nie musimy zawsze jadać razem - stwierdziła.

- Wolisz, żebyśmy mijali się w kuchni, jedli o różnych porach i ustalili, kiedy każde z nas może korzystać z piekarnika i zlewu?

Rhiannon odwróciła wzrok.

- To by mi bardziej odpowiadało - mruknęła.

- Myślę, że mówisz bez sensu. Prawda, Lizzie? - spytał.

Rhiannon zaczęła się zastanawiać, jaki mogłaby dostać wyrok za zabójstwo w afekcie...

- Tak, mamo. Mówisz bez sensu - przyznała dziewczynka z niepewnym uśmiechem, uważnie obserwując twarze dorosłych.

- Chcesz mu pomóc? - spytała Rhiannon.

- Tak, ale to znaczy, że kto nie gotuje, ten zmywa naczynia, dobrze? - zaproponowała Lizzie.

Matka uśmiechnęła się do niej i skinęła głową.

- W porządku, jeśli sprawi ci to przyjemność.

- Wiesz, największą przyjemnością sprawiłyby mi pies i kucyk.

Rhiannon wybuchnęła śmiechem. Kane również nie mógł się powstrzymać.

Lizzie przyglądała im się przez chwilę, zanim sama się roześmiała. Kane zmierzwił jej włosy.

- Słusznie. Nigdy nie należy się poddawać. - Kucnął obok niej, by wspólnie ustalić, co przygotowują na kolację.

Rhiannon nie mogła oderwać od nich wzroku. Byli niemal identyczni: włosy, oczy, sposób przechylania głowy... Na dodatek dogadywali się bez najmniejszych trudności, jakby znali się od lat.

Kolejny raz ogarnęło ją poczucie winy. To przecież ona nie pozwoliła im być razem. Właściwie dlaczego? Z powodu urażonej dumy? Pochopnej



decyzji? Widząc ich w tak dobrej komitywie, zaczynała żałować straconego czasu.

Gdy Kane uniósł głowę, szybko zamrugła, by ukryć łzy. Ruszyła do drzwi, unikając jego wzroku.

- W takim razie zostawię was samych. Będę w bibliotece - powiedziała, wychodząc.

Być może popełniła kiedyś wielki błąd, ale nie zamierzała się do tego przyznać.

Obserwowanie Kane'a i Lizzie jest wystarczającą karą. Czuła, że w jakiejś części straciła własne dziecko i bardzo ją to zabolalo.



## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

Rhiannon coraz bardziej doceniała nieliczne chwile, gdy mogła być sama z córką. W ciągu tygodnia były to głównie krótkie podróże do szkoły i z powrotem. Zupełnie jakby ona i Kane rywalizowali o to, kto lepiej potrafi wykorzystać czas spędzany z dziewczynką.

Nie znosiła tego. Przyzwyczała się, że są tylko we dwie. Teraz czuła napięcie nawet w domu. Unikała Kane'a, zajmując się porządkowaniem rzeczy i sprzątaniami. Starła się urządzić Brookfield tak, by zamiast domu Mattiego było to miejsce, w którym Lizzie dorastałaby i czuła się szczęśliwa. Jednak obecność Kane'a dawała się odczuć niemal na każdym kroku.

Na początku drugiego tygodnia wyjechał rano do Dublina, ale zdążył wrócić wieczorem, zanim Lizzie poszła spać. W czasie jego nieobecności zjawiała się furgonetka z różnorodnym sprzętem, niezbędnym do jego pracy. Rhiannon potraktowała to jak przypomnienie, że Kane zaraz tutaj wróci. Zastanawiała się, jak długo zamierzał ciągnąć to przedstawienie. Czuła się nieszczęśliwa i samotna. Nie miała komu się zwierzyć, nie miała z kim poważnie porozmawiać. Zresztą, od czego miałyby zacząć? Rozmowy przez telefon z przyjaciółkami niczego nie mogą zmienić. W innych okolicznościach Mattie na pewno chętnie by jej wysłuchał. Teraz wspomnienie oddanego przyjaciela tylko zwiększało jej cierpienie.

Nakryła stół do kolacji i postanowiła zobaczyć, co robią Kane i Lizzie. Gdy wchodziła na górę, usłyszała głośny śmiech. Kolejny raz chichot córki mieszał się z niskim głosem Kane'a. Byli na drugim piętrze, gdzie przed wieloma laty mieściły się pokoje służby.

Podeszła bliżej drzwi.

- Nic z tego! - zawołała Lizzie.
- Poradzisz sobie - zachęcał ją Kane.
- Jak księżniczka ma przejść obok potwora? Szybko, bo mnie zabije!
- Bystre dziecko takie jak ty powinno samodzielnie znaleźć rozwiązanie.

Właśnie na tym polega cała zabawa.

Rhiannon lekko popchnęła drzwi i zajrzała do środka. Dawna sypialnia była długa i dość ponura. Cztery małe okna wychodziły na dach niższego piętra. Teraz mieściło się tu nowoczesne biuro z komputerami, telefonami, skanerem i innymi urządzeniami, które dopiero czekały na wyjęcie z kartonowych pudeł.

Nie tracił czasu, pomyślała. Przyrzekła sobie, że odbędzie z nim zasadniczą rozmowę na temat terminu wyjazdu. Tymczasem zerknęła na córkę, która siedziała przed największym ekranem i sterowała krokami księżniczki w zaczarowanym labiryncie. Na sąsiednim fotelu wygodnie rozparł się Kane.

Nie pamiętała już, że może tak wyglądać. Miał na sobie zwykłą bawełnianą koszulkę, sprane dżinsy i tenisówki, potargane włosy. Ku jej zaskoczeniu okazało się, że grają razem! Odebrała to jak kolejny cios. Zawsze fascynowała go technika, a teraz zaraził tym córkę.

Ile jeszcze będę musiała znieść? - pomyślała.

- Dlaczego nie mogę przejść przez te drzwi? - zawołała Lizzie.
- Może spytajmy, co mama o tym myśli? - zaproponował.

Już wcześniej zauważył Rhiannon kątem oka. Teraz oboje odwrócili się na krzesłach w jej stronę.

- Kane ma super gry! - rzekła przejęta Lizzie.

Rhiannon uśmiechnęła się do niej.

- Kolacja już prawie jest gotowa. Może przebierzesz się ze szkolnego mundurka w coś lżejszego i umyjesz ręce? Kane na pewno ma sporo pracy. Nie powinnaś mu przeszkadzać...

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby ze mną była - powiedział.

Rhiannon puściła to mimo uszu.

- Jeśli po kolacji odrobisz lekcje, może jeszcze pograsz przez chwilę przed snem - obiecała.

Nadal trudno jej było iść na ustępstwa, ale każdego dnia działo się coś, z czym musiała się pogodzić. Przywiązywała do tego coraz mniejszą wagę. Może dlatego, że pod okiem ojca dziewczynka rozkwitała. Kane zawsze miał dla niej czas, uważnie słuchał tego, co miała do powiedzenia, pomagał odrabiać lekcje, gdy o to poprosiła, tłumaczył trudne sprawy tak, by szybko mogła je zrozumieć. Rhiannon rozumiała, że Lizzie łączy się do Kane'a, bo jest kimś w jej życiu nowym. Natomiast on starał się nadrobić stracony czas.

- Chodź, pomogę ci z lekcjami i szybciej tu wrócisz - powiedział, znacząco unosząc brwi.

Rhiannon najchętniej wzięłaby Lizzie za rękę i zabrała z pokoju. Potem mogłaby wykrzyknąć Kane'owi prosto w oczy, że ona też ma prawo spędzać z dzieckiem czas. Do diabła, pomyślała. Kane stara się stworzyć wrażenie, że z Lizzie stanowią zgrany zespół, do którego ona nie należy. Rhiannon doszła do wniosku, że po prostu musi wiedzieć, co dalej będzie się działo. Może wtedy odzyska spokój.

Lizzie zeskoczyła z krzesła.

- Zgoda. Dziś mam do odrobienia matematykę, a ty jesteś w tym lepszy niż mama. - Chwyliła wielką dłoń i pociągnęła go za sobą. - Nie wiem, czy powinnam jeszcze grać, bo mama mówiła wczoraj, że mogę dostać kucyka i psa. Muszę zrobić listę rzeczy, które będą im potrzebne.

- Jeszcze nie powiedziałam, że na pewno je dostaniesz - wtrąciła Rhiannon, patrząc na jej drobną rączkę w dłoni Kane'a. - Mówiłam, że porozmawiamy o tym rano.

Obietnica Rhiannon wywołała wtedy w Lizzie taką samą radość, jaką dotychczas powodowała tylko obecność Kane'a.

- Ale, mammo...

- Wiesz, że zwierzęta wymagają opieki. Teraz przebierz się - poleciała, ciągle patrząc na ich złączone dłonie.

Kane chyba zorientował się, że stanowi to dla niej problem, bo wypuścił rękę Lizzie i zmierzwił jej włosy.

- Idź i zrób to, co mama każe - powiedział.

Po raz pierwszy zdarzyło mu się poprzeć Rhiannon. Zaskoczył ją. Spojrzała mu w oczy.

Tymczasem Lizzie zmarszczyła nos i po chwili uśmiechnęła się do niego.

- Dobrze.

Dobrze? Tak po prostu? - zdziwiła się Rhiannon. W ciągu ostatnich kilku miesięcy to dziecko trzeba było namawiać do wszystkiego i długo przekonywać.

- Zaraz będę gotowa! - zawołała Lizzie, biegnąc do drzwi. - Przy kolacji porozmawiamy o moich zwierzętach - dodała.

Rhiannon odwróciła się, by zejść na dół, ale Kane ją zatrzymał.

- Dopilnuję żeby nie grała za długo. Pójdzie spać o zwykłej porze - obiecał.

- Dziękuję. - Spojrzała na niego.

- Lizzie jest bardzo bystra - zauważył.

- To prawda.

- Szybko pojęła, jak radzić sobie w tej grze, a przeznaczona jest dla dzieci starszych o kilka lat.

- W szkole zawsze wyprzedzała program informatyki. Te zdolności ma na pewno po tobie - stwierdziła Rhiannon.

Nastąpiła krótka chwila ciszy.

- Musiałaś bardzo cierpieć, widząc, jak wiele ma po mnie. Przecież nienawidziłaś mnie przez tyle lat.

Powiedział to bez złości. Po raz kolejny ją zaskoczył. Nie robił jej wymówek ani nie silił się na złośliwości. Do czego zmierzał tym razem?

Tymczasem on lekko się uśmiechnął.

- Zdaję sobie sprawę, jak bardzo mnie nie lubiłaś. Dlatego ukrywałaś przede mną Lizzie.

Rhiannon westchnęła.

- Wmówiłam sobie, że nie chciałaś mieć z nią nic wspólnego.

- Bo nie odpowiedziałem na list?

- Tak. Nie miałam innego sposobu, żeby skontaktować się z tobą. Nikt nie mógł dodzwonić się do ciebie, kolega z pokoju nie wiedział, dokąd wyjechałaś ani na jak długo. Nie znaliśmy się na tyle dobrze, żebym zdażyła poznać adres twoich rodziców. Zostawienie listu w twojej szafce to był jedyny sposób, jaki wtedy przyszedł mi do głowy.

Wyjaśniła mu sytuację jasno i klarownie. Cóż jeszcze mogła dodać? Zaszła w ciążę, zanim skończyła dziewiętnaście lat. Potrzebowała czyjegoś życzliwego wsparcia. Nie wiedziała, dokąd pójść, jak opiekować się dzieckiem ani u kogo szukać pomocy, gdy ogarniała ją panika. Znienawidziła Kane'a, bo nie mogła na niego liczyć, gdy najbardziej był potrzebny.

Teraz znów pogрузzył się w milczeniu. Spoglądał zamyślony na mijane obrazy zdobiące korytarz.

- Pamiętasz naszą ostatnią rozmowę sprzed lat? - zapytał w końcu.
- Twoje podziękowanie za miłe chwile?
- Niczego takiego wtedy nie powiedziałem - zaprzeczył gwałtownie.
- Potrafię czytać między wierszami - odparła ze smutnym uśmiechem.
- Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało - przyznał cicho. - Jeśli ma to

jeszcze dla ciebie jakieś znaczenie, długo zastanawiałem się, co mam powiedzieć, i starałem się dobrać odpowiednie słowa.

Rhiannon poczuła ucisk w gardle. Zranił wtedy jej dumę i rozwiął złudzenia, jakie miała osiemnastolatka traktująca znajomość z nim jako początek czegoś poważnego. Była nim zainteresowana i bardzo jej na nim zależało, ale nie była to jeszcze szaleńcza miłość. Wtedy nie złamał jej serca. Po prostu dotarło do niej, że nie był tak wspaniałym facetem, za jakiego go uważała.

- Cóż, zerwanie nigdy nie jest proste - zauważyła. - Zrobiłeś to najlepiej, jak potrafiłeś.

- Nie byliśmy ze sobą zbyt długo.
- Wiem.
- Ale nasza znajomość była burzliwa.
- Pamiętam.

Właśnie zeszli na półpiętro i Kane zastąpił jej drogę. Było oczywiste, że nie zamierzał zatrzymywać jej siłą. Spojrzała mu w oczy. Przez dłuższą chwilę przyglądał się jej uważnie, marszcząc brwi.

- Co jeszcze pamiętasz?

Wstrzymała oddech. Jeśli spodziewał się wspomnień na temat wspaniałego seksu, to bardzo się przeliczył, pomyślała. Najwyraźniej odgadł jej myśli, bo na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech.

- Nie chodzi mi o to, co właśnie przyszło ci do głowy - wyjaśnił.

Rhiannon zacisnęła zęby.

- Mogę wiedzieć, do czego zmierzasz? - zapytała.

Spojrzał ponad jej ramieniem, by sprawdzić, czy drzwi do pokoju Lizzie nadal są zamknięte.

- Dużo rozmyślałem przez ostatnie dni... - zaczął, pochylając się w jej stronę. - Zastanawiałem się, czy pamiętasz, jaki wtedy byłem. Musiałaś mnie lubić, skoro zdecydowałaś się...

Rhiannon zamrugła powiekami, zaskoczona. Spodziewała się usłyszeć coś zupełnie innego.

- Oczywiście, że cię lubiłam. Zabawne, że w ogóle mogłeś w to wątpić. Pokiwał głową.

- Tak właśnie myślałem.

Stał bardzo blisko i pachniał kawą. Uświadomiła sobie, że zawsze kojarzył się jej ze zdecydowanymi zapachami: cynamonem, miętą, kawą. Westchnęła. Takie wspomnienia nie mają sensu.

- Jeśli lubiłaś mnie na tyle, żeby kochać się ze mną tyle razy, to chyba nie uważałaś mnie za potwora.

Roześmiała się.

- Zaczynam się domyślać, do czego zmierza ta rozmowa - stwierdziła.

Chciała go wyminąć, ale znów ją zatrzymał.

- Nie uważałaś mnie za złego człowieka, ale błyskawicznie uznałaś, że zlekceważyłem twój list i nie chciałem nic wiedzieć o dziecku. Absolutnie nie mogę tego pojąć.

Rhiannon rzuciła nerwowe spojrzenie w stronę pokoju Lizzie.

- Miałam zaledwie osiemnaście lat, byłam w ciąży, a ty zniknąłeś jak kamfora. Staralam się pozbierać i zrozumieć, dlaczego taki wspaniały facet z dnia na dzień stał się dupkiem! - rzekła przyciszonym głosem.



Nagle chwyciła go za rękę i zeszła na parter, ciągnąc go za sobą. Zatrzymała się u stóp schodów i spojrzała mu w oczy.

- Kane, co chcesz ode mnie usłyszeć? - spytała nieco głośniejszym głosem. - Mam powiedzieć, że mimo tego, co wtedy przeżywałam, nie miałam racji? Dobrze, przyznaję!

Zastygł w miejscu, zaskoczony. Rhiannon zaś mówiła dalej, czując, że łzy napływają jej do oczu.

- Ona przepada za tobą, podobnie jak ty za nią - oznajmiła. - Kocham ją i czuję się winna, że nie mogło tak być wcześniej... - Urwała na chwilę, bo głos zaczął się jej załamywać. - Jeśli byłś innego zdania, to tylko dowodzi, że mnie nie znasz - dodała, nie panując nad łzami spływającymi po policzkach.

- Rhiannon...

- Nigdy nie rozdzieliłabym jej z ojcem, bo wiem, jak to jest, kiedy ojciec odrzuca własne dziecko. Miałaś więc rację, bo to ja się myliłam. Wygrałeś.

## *ROZDZIAŁ SZÓSTY*

Rhiannon wbiegła na piętro, zanim Kane zdążył zareagować. Stał więc na bez ruchu i szybko myślał. Niewątpliwie Rhiannon ma rację w jednej kwestii: ani on jej nie znał zbyt dobrze, ani ona jego.

Spojrzał w górę. Miał ochotę ruszyć za nią, ale domyślał się, że teraz nie byłaby tym zachwycona.

Nie mógł pogodzić się z faktem, że przez tyle lat nie dała mu szansy na kontakt z dzieckiem. Jednak jest matką jego córki i wspianiale ją wychowuje. Szanował ją za to. Jednocześnie jej emocjonalny wybuch skłonił go do zastanowienia nad własnymi błędami z przeszłości.

Miał wtedy powody, by nagle wyjechać, nie wtajemniczając Rhiannon w swoje plany. Cóż, ona też miała powody, by w nieskończoność go nie szukać.

Teraz powinien zadać sobie trochę trudu, by w końcu zasłużyć na jej zaufanie. Rodzice powinni rozmawiać ze sobą szczerze, pomyślał. Ciągle nie znał odpowiedzi na dręczące go pytania. Rhiannon stanowiła dla niego zagadkę. Nienawidziła go przez lata, a jednocześnie bardzo kochała jego dziecko. Czy to tylko instynkt matki? - zastanawiał się.

Nie oczekiwał, że przyzna się do błędu. Zaskoczyła go kolejny raz. Poza tym najwyraźniej pamięta ich wszystkie wspólne chwile sprzed lat. Widział to w jej spojrzeniach i zachowaniu. Wielokrotnie przyłapał się na tym, że uważnie Rhiannon obserwuje. Była bystra i doskonale radziła sobie z obowiązkami. Pod tym względem Lizzie na pewno wrodziła się w matkę.

Otworzyły się drzwi na piętrze. Kane nasłuchiwał w napięciu. Spodziewał się, że Rhiannon wróci na dół. Jednak gdy uniósł wzrok, zobaczył uśmiechniętą Lizzie.

- Czekasz na mnie? - zapytała.

Odetchnął głęboko i uśmiechnął się.

- Tak. Chodź, przygotujemy coś do jedzenia.

Pobył w tym domu wywoływał w nim ciągłe napięcie. Tylko w towarzystwie Lizzie czuł się swobodnie, jednak unikanie Rhiannon nie ma sensu. Przecież chciałby poznać ją na nowo. Była bardzo kobieca i atrakcyjna. Obserwowanie jej sprawiało mu coraz większą przyjemność i budziło zmysły. Od dawna żadna kobieta tak na niego nie działała.

- Rozpaliłem w kominku - rzekł godzinę później.

Stał w wejściu do kuchni i przyglądał się Rhiannon. Była zmęczona, blada i miała podkrążone oczy. Przedtem dzielnie zjawiała się na kolacji, nie dając poznać po sobie, jak bardzo jego obecność komplikuje jej życie. Starła się, by Lizzie nie wyczuła jej ciągłego napięcia.

Kane wsunął dłonie do kieszeni dzinsów.

- Mattie często powtarzał, że bardzo lubisz ten dom.

- To prawda - przyznała i skinęła głową. Właśnie skończyła sprzątać ze stołu po kolacji. - Brookfield to wyjątkowe miejsce. Małe dziewczynki marzą o takim miejscu. Kiedyś zobaczyłam na wystawie dom dla lalek. Wyglądał bardzo podobnie i w dzieciństwie był moim obiektem marzeń. Lizzie spodobało się tu już pierwszego dnia.

Kane usiłował przypomnieć sobie wszystko, co pamiętał na temat Rhiannon. Uświadomił sobie z przykrością, że nie było tego wiele. Wiedział tylko, że pochodzi z niezamożnej rodziny.

- Gdzie jest Lizzie? - odezwała się.

- Poszła na górę wziąć prysznic - powiedział i podszedł do ekspresu. -

Masz ochotę na kawę?

Wyczuł jej wahanie. Najwyraźniej nie czuła się komfortowo, gdy zostawali tylko we dwoje.

- I tak robię dla siebie - dodał od niechcienia.

- W takim razie proszę.

Podszedł do zlewu i odkręcił kran, żeby nabrać wody. Jego ręka na moment otarła się o rękę Rhiannon. Cofnęła się gwałtownie. Kane westchnął zniecierpliwiony i spojrzał na nią kątem oka.

- Nie gryzę - zapewnił, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Rhiannon odsunęła się jeszcze kilka kroków, by zdjąć z półki filiżanki i spodeczki. Podszedł do lodówki po mleko i zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy od jego pojawienia się w domu przygotowują coś wspólnie. Zwykle ona trzymała się na uboczu, a on poświęcał czas córce.

- Chyba powinniśmy spędzić razem trochę czasu, zanim powiemy jej, kim jestem - stwierdził.

Rhiannon popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Dlaczego mielibyśmy to robić?

- Wydaje mi się, że rodzice, którzy potrafią współpracować, są więcej wariaci niż ci, którzy wiecznie się kłócą - odparł z przekonaniem.

Postawił karton z mlekiem obok filiżanek i spojrzał na nią pytająco. Wyraźnie nie była zachwycona tym pomysłem. Uśmiechnął się do siebie. Sytuacja jest więc trudna dla obojga.

- Lizzie jest bystra - mówił dalej. - Szybko zorientuje się, że gdy tylko znajdziemy się w tym samym pokoju, stajemy się spięci i nienaturalni. To zacznie ją zastanawiać, a potem pojawią się pytania.

Ona również przyjrzała mu się badawczo. Lekko zmrużyła oczy.

- Chcesz powiedzieć, że dla jej dobra powinniśmy okazywać sobie życzliwość, a może nawet serdeczność? - spytała z powątpiewaniem w głosie.

- Tak.

- Jakim cudem miałyby to się stać?

Wzruszył ramionami.

- Byliśmy wobec siebie na tyle życzliwi, że udało nam się ją zmajstrować - stwierdził.

Rhiannon zaczerwieniła się i odwróciła wzrok.

- To było bardzo dawno temu. Sami jeszcze nie byliśmy dorośli.

- Słusznie, ale skoro już dorośliśmy, powinniśmy sprawy Lizzie potraktować jako najważniejsze. To dobry punkt wyjścia, żeby osiągnąć porozumienie.

Zadrżała jej ręka i odrobina kawy rozsypała się obok ekspresu. Sięgnęła po papierowy ręcznik.

- Nigdy nie byliśmy prawdziwymi przyjaciółmi - powiedziała. - Wtedy nie mieliśmy na to czasu, a teraz jest już za późno.

- Nie sądzę, żeby było za późno na odrobinę wysiłku z naszej strony. Lizzie nie powinna czuć się jak piłka, którą odbijamy między sobą - mówił, napełniając wodą zbiornik ekspresu.

- Nie chciałabym tego - przyznała.

- Dobrze. Na razie jesteśmy zgodni w jednym.

Kane odwrócił się do niej.

Spojrzała mu w oczy i po raz pierwszy od dawna uśmiechnęła się do niego.

- To prawda - rzekła i ruszyła do drzwi z filiżanką w ręce. - Jeśli rozpalisz w kominku, to może posiedzimy przed telewizorem, zanim Lizzie pójdzie spać?

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Rhiannon miała wreszcie za sobą kilka spokojnie przespanych nocy. Czowała, że przybyło jej energii. Na dodatek zimowe zamiecie uspokoiły się na tyle, że wyszło słońce i wpadało do domu przez wszystkie okna, poprawiając domownikom nastrój.

Spędzanie czasu w towarzystwie Kane'a nie sprawiało jej przyjemności, ale przynajmniej nie dochodziło do kłótni. Ze względu na dziecko dobre i to, pomyślała. Kane mówił często „my”, „nas”, „wspólnie”, do czego nadal nie mogła przywyknąć. Te słowa oznaczały, że łączy ich jakaś więź, co nie było zgodne z prawdą. A może jednak? - zastanawiała się.

Musiała przyznać, że na pewno łączy ich Lizzie. Cóż, przynajmniej teraz Rhiannon nie miała powodu, by czuć się obco we własnym domu i w towarzystwie własnego dziecka.

Pod wpływem życzliwego impulsu przygotowała dwie kawy, wzięła głęboki oddech i odważnie ruszyła na terytorium Kane'a. Gdy wspięła się po schodach na drugie piętro, na chwilę zatrzymała się niezdecydowana przed lekko uchylonymi drzwiami.

- Potem niech mi to przyśle mailem - dobiegło ją ze środka.

Zapukała i weszła, nie czekając na odpowiedź. Kane wstał na jej widok, nie wypuszczając komórki z dłoni. Gestem zaprosił ją do środka. Odwrócił w jej stronę obrotowy fotel, który najczęściej zajmowała Lizzie.

- Zgoda, ale niech Colm najpierw obejrzy projekt graficzny. Po ostatniej rozmowie z projektantem już wie, na co zwracać uwagę - mówił.

Uśmiechnął się i ruchem ręki zaproponował jej, by usiadła. Rhiannon pokręciła głową. Nie przyszła tu, by mu przeszkadzać ani wpraszać się na

ploteczki. Miała jeszcze do zrobienia pranie. Tymczasem Kane wziął od niej kawę i przytrzymując słuchawkę ramieniem, objął jej przegub. Pociągnął ją lekko w stronę krzesła.

- Opakowanie było do niczego - tłumaczył do telefonu. - Chodzi o to, żeby gra wyglądała z zewnątrz jak towar luksusowy, chociaż na pewno taka nie jest.

Rhiannon wzniosła oczy do nieba i ustąpiła. Z westchnieniem zajęła miejsce na krześle. Pomyślała, że ostatecznie może mu poświęcić parę minut. Tymczasem Kane kontynuował rozmowę, od czasu do czasu wybuchając śmiechem. Gdy zbliżał się do końca, usłyszała kobiecy głos dobiegający ze słuchawki. Dlatego jest taki roześmiany, pomyślała.

- Dzięki za kawę - powiedział.

- Zrobiłam dla siebie, więc skorzystałeś - wyjaśniła. - Nie chciałam ci przeszkadzać. Na pewno nie jest łatwo prowadzić firmę na odległość.

- Nie jest tak źle. Sara informuje mnie o wszystkim. To teraz jej podstawowy obowiązek.

Rhiannon starała się przybrać obojętną minę, ale zainteresowała ją kobieta, która zajmowała się sprawami Kane'a. Właściwie chętnie by ją poznała. Kane spojrzał na nią, jakby odgadł jej myśli.

- Jest moją asystentką od trzech lat - wyjaśnił.

Skinęła głową i spojrzała na ekran komputera. Niewątpliwie toczyła się tam jakaś wartka akcja, w której uczestniczyły rysunkowe postacie.

- Coś nowego? - zapytała.

- Niezupełnie - odparł, odstawiając filiżankę. - To najnowsza wersja naszego rynkowego przeboju. Miałem tu spokój i ciszę, więc poprawiłem błędy i ulepszyłem, co się tylko dało. Wymyśliłem nowy wątek... - Mówił z coraz większym przejęciem.

- W takim razie nie będę ci przeszkadzać - oznajmiła Rhiannon, unosząc się z krzesła.

Kane objął ją na chwilę i zatrzymał.

- Może zagrasz? Włączę od początku - zaproponował.

- Nie mam pojęcia o grach komputerowych - próbowała się bronić.

- Lizzie za nimi przepada, więc może chociaż spróbujesz się nauczyć, o co w tym chodzi?

Rhiannon objęła filiżankę obiema dłońmi. Spoglądała na niego, gdy z zaangażowaniem starał się wszystko wyjaśnić. Gdy kosmyk włosów zsunął mu się na czoło, z trudem powstrzymała się, by go nie poprawić. Mocniej zacisnęła palce.

- Mam ukryty talent, jeśli chodzi o elektronikę - powiedziała. - Wystarczy, że dotknę jakiegoś urządzenia, i szybko przestaje działać.

Kane uśmiechnął się pod nosem.

- O ile dobrze pamiętam, masz absolutną rację - potwierdził.

Rhiannon nie mogła się powstrzymać i wybuchnęła śmiechem.

- Cóż, jeśli pamiętasz, to pewnie wolałbyś, żeby ten komputer nie rozsypał się pod moim wpływem? Domyślam się, że jest więcej wart niż wszystko to, co dotychczas zniszczyłam.

- Zgoda, ale sprzęt, który obecnie projektuję, jest bardzo przyjazny dla użytkownika. Jeśli uda ci się go błyskawicznie rozwalić, to będzie znaczyło, że nie przyłożyłem się do pracy - zauważył, odwracając wzrok w stronę płaskiego wyświetlacza.

Rhiannon na moment zatopiła się we wspomnieniach. Przypomniała sobie dzień, gdy bez zapowiedzi wkroczyła do pokoju, w którym Kane i Lizzie grali z zapamiętaniem w jedną z gier. Zdała sobie wtedy sprawę, jak doskonale czują się w swoim towarzystwie, i poczuła zazdrość.



Natomiast kiedyś przed laty Kane pochwalił się jej swoją nową konstrukcją. Rhiannon usiadła do klawiatury i wkrótce z monitora zniknął obraz. Okazało się, że karta graficzna uległa spaleniu. Na szczęście Kane nie wpadł w rozpacz z tego powodu. Oboje mieli pretekst do śmiechu i wkrótce wylądowali w łóżku.

Uniosła filiżankę do ust i upiła spory łyk kawy. Szybko zdołała powrócić do rzeczywistości.

- Pomysł na scenariusz był prosty - tłumaczył Kane. - Jesteś władczynią nowego królestwa. Po katastrofie statku znalazłaś się w zupełnej dzicy i musisz od początku tworzyć cywilizację. Możesz korzystać tylko z surowców, które sama znajdziesz lub zdobędziesz.

Uderzał palcami w klawisze. Przyjemnie pachniał mydłem i szamponem. Pociągał ją i nie mogła tego pojąć. Przecież tyle czasu go nienawidziła!

Spojrzała na ekran, gdy wpisywał imię nowego władcy.

- To ma być imię królowej? - zaprotestowała.

- Oczywiście - potwierdził z rozbawieniem.

- Władczyni powinna nazywać się bardzo dostojnie.

- Rhiannon brzmi bardzo dobrze - zapewnił.

- Chyba tego nie przemyślałeś - mruknęła. Odstawiła filiżankę i przysunęła sobie fotel. - Wymyślę coś lepszego.

- Dobrze, a potem postępuj z godnie ze wskazówkami, które pojawią się na ekranie.

Kane zasiadł wygodnie przed drugim ekranem i zajął się swoją pracą. Rhiannon po chwili przestała zwracać uwagę na jego obecność. Gra wymagała skupienia. Czas mijał niepostrzeżenie. Dopiero po godzinie oderwała się na chwilę i roześmiała w głos.

- Co się dzieje? - spytał Kane, odwracając się w jej stronę.

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Wreszcie zrozumiałam, dlaczego dzieciaki siedzą przed ekranem całymi godzinami.

- Wciągające, prawda? - spytał z uśmiechem.

- I niegłupie. Masz ogromną władzę nad tymi ludzikami, a jednocześnie odpowiadasz za ich życie.

- Ta gra ma jeszcze uczyć zasad handlu i współpracy między grupami ludzi - dodał Kane.

Rhiannon odchyliła się na krześle i spojrzała na niego z zaciekawieniem.

Pokręcił głową.

- Dlaczego przyglądasz mi się z taką miną? - spytał.

- Opracowujesz tylko gry edukacyjne?

- Niezupełnie.

- Byłyby trudne do sprzedania, jak się domyślam.

- Możliwe, ale każda gra czegoś uczy. Przede wszystkim obsługi komputera, klawiatury i zręczności w posługiwaniu się myszą. Dzisiaj każdy musi korzystać z komputera. Chciałbym więc, żeby dzieci doszły do wprawy w jego obsłudze, zanim wejdą w dorosłe życie. To im w przyszłości pomoże w pracy.

Czyżby w głębi duszy był idealistą? - pomyślała Rhiannon. Właściwie nie była tym zaskoczona. Przez lata źle go oceniała i najwyraźniej nie miała ku temu powodów. Teraz na pewno byłoby łatwiej, gdyby mogła go polubić. To pomogłoby im ustalić jakieś stałe zasady opieki nad dzieckiem.

Zastanawiała się, co powiedzieć.

- Cieszę się, że Lizzie może korzystać na co dzień z twojej pomocy - odezwała się w końcu. - Na przykład matematyka nigdy nie była moją mocną

stroną, a ostatnio dzięki tobie Lizzie rozwiązuje testy jako jedna z pierwszych w klasie.

Na chwilę zapadła cisza.

- Cóż, dziękuję - odrzekł Kane lekko ochryplym głosem.

Rhiannon obojętnie wzruszyła ramionami.

- Po prostu mówię szczerze o tym, co widzę.

- Musimy zdobyć się na to, jeśli dziecko ma mieć normalny dom.

Kane wyciągnął rękę i odwrócił jej fotel w swoją stronę tak, że zetknęli się kolanami. Spojrzał jej prosto w oczy.

- Doskonale ją wychowałeś - stwierdził.

W jego głosie była nie tylko pochwała, ale i wdzięczność. Poczowała przyspieszone bicie serca.

- Dzięki - odrzekła krótko, a on się uśmiechnął.

- Po prostu jestem szczerzy - zrewanżował się.

W tym momencie czuła się jak przed laty, gdy jako osiemnastolatka uległa czarowi studenta, starszego od niej o trzy lata. Teraz był jeszcze bardziej pociągający, co mogło okazać się niebezpieczne. Najwyższy czas, żeby się stąd wycofać, pomyślała. Odepchnęła się stopami od podłogi i fotel odjechał od biurka.

- Cóż, straciłam już dość czasu na głupie gry - mruknęła.

Kane wyciągnął rękę i fotel znów znalazł się przy biurku.

- Nie rób tego - powiedział poważnie.

Zrobiła niewinną minę.

- Czego mam nie robić? Czeka mnie jeszcze mnóstwo pracy. Taki wielki dom nie zadba sam o siebie.

- Nie w tym rzecz - stwierdził.

- Więc o co chodzi?

Kane spojrzał na nią chłodno, zupełnie jak w pierwszym dniu pobytu w tym domu.

- Uciekasz - oświadczył.

- Do prania, które czeka na dole? Możesz mi wierzyć, że to mnie nie porywa.

- Musimy nauczyć się szczerze rozmawiać - zauważył. - Chyba oboje mamy z tym trudności - podsumował.

Czuła na sobie jego spojrzenie. Kątem oka widziała, jak przesuwa się jego wzrok. Patrzył na jej włosy, usta, piersi...

- Musimy zdobyć się na trochę więcej wysiłku ze względu na Lizzie - dodał.

Rhiannon odruchowo skinęła głową.

- Oczywiście. Ze względu na Lizzie.

Nie powinno być żadnego innego powodu. Nie tym razem, pomyślała.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

To był największy pies, jakiego kiedykolwiek zdarzyło się jej widzieć. Rhiannon stała z wytrzeszczonymi oczami, spoglądając na zwierzę, które miało łeb na wysokości jej talii. Patrzyły na nią smutne ciemne oczy, a psią sierść widać było w kilku miejscach na terakocie w kuchni. Nerwowo przełknęła ślinę. Bała się ruszyć na wypadek, gdyby potwór zamierzał ją pożreć. Na pewno potrafiłby to zrobić jednym kłapnięciem szczęk.

- Cudowny, prawda? - zawołała Lizzie, stając w drzwiach. - Kane pozwolił mi wybrać. Wabi się Winston.

Godzilla to byłoby dużo bardziej odpowiednie imię, pomyślała.

- To twój pies?

- Aha - potwierdziła Lizzie i podbiegła, by objąć zwierzę za szyję. - Mój własny. Zrobię mu łóżko, żeby spał w moim pokoju.

Już to widzę, pomyślała.

- Kane ci go kupił? - Nawet nie zapytał jej o zdanie. Wystarczyło, że pozwoliła, by razem spędzili popołudnie poza domem. - Gdzie on teraz jest?

- Zaprosił Johna, wiesz, tego, który ma kucyki. Poszli obejrzyć stajnię.

Coś takiego! - pomyślała Rhiannon.

Ostrożnie minęła największego psa na planecie, otworzyła kuchenne drzwi i wyszła na brukowany podjazd z tyłu domu. Zatrzymała się na chwilę, bo ze starej stajni dobiegła ją rozmowa. Pomieszczenia te od lat stały puste, co uważała za marnotrawstwo, to jednak jeszcze nie znaczy, że Kane może tam zakwaterować całą menażerię, jakiej zażyczy sobie Lizzie. Przynajmniej powinien zapytać ją o zdanie.

Ruszyła w stronę, skąd dobiegały męskie głosy. Skrzyżowała ręce na piersi i weszła do środka.

Na widok Kane'a omal nie wybuchnęła śmiechem. Z daleka widać było, jak bardzo starał się przystosować do wiejskiego życia. Miał na sobie koszulę w kratę, dżinsy i robocze buty na grubej podeszwie. Oczywiście nie zamierzał zabrudzić sobie rąk, pracując fizycznie.

- Za kilka tysięcy dostanie pan łagodne zwierzę, ale samotność źle na nie wpływa - usłyszała.

Kane skinął głową.

- Tu jest mnóstwo miejsca - powiedział.

W tym momencie uznała, że najwyższy czas wkroczyć do akcji. Odchrząknęła znacząco.

- Czy mogę włączyć się do rozmowy, zanim Brookfield stanie się ogrodem zoologicznym i miejscową atrakcją turystyczną? - zapytała. Udała, że nie widzi znaczącego spojrzenia Kane'a. - Witaj, John. Miło cię znów widzieć - zwróciła się do młodszego z rozmówców.

- Witaj, Rhiannon. Jak zwykle wspaniale wyglądasz.

Odpowiedziała mu uśmiechem. John był z natury szczery i życzliwy, co budziło jej sympatię.

- Zawsze znajdziesz okazję, żeby powiedzieć miłe słowo. Jak tam tata?

- Jego trudny charakter nie ułatwia mi życia. Powinnaś wpaść z Lizzie i pogadać z nim trochę. Po waszych wizytach staje się dużo łagodniejszy.

- Obiecuję, że wpadniemy.

- Koniecznie. Możemy potem pojechać konno na wycieczkę do lasu - namawiał.

Kane przysłuchiwał się im z niezbyt zadowoloną miną.

- Widzę, że się już znacie - zauważył. - John przyszedł obejrzyć stajnię. Chodzi o odpowiednie miejsce dla kucyka. Może dwóch.

Może dwóch? - powtórzyła w myślach, wysoko unosząc brwi. Jego stanowczy ton nie zrobił na niej wrażenia.

- Możemy o tym porozmawiać. Przecież nie ma pośpiechu - stwierdziła.

- Już przyrzekłem Lizzie...

Rhiannon przywołała na twarz słodki uśmiech.

- Myślę, że wystarczy jej pies. To nie jest drobny prezent. Właściwie gigantyczny. Nie mogłeś znaleźć jakiegoś mniejszego? Choćby wielkości młodego słonia? - spytała z przekąsem.

John wybuchnął śmiechem.

- Niemieckie dogi są bardzo przyjazne i wierne. Winston to chodząca pocziwina - zapewnił Kane.

Pokiwała sceptycznie głową.

- Mogłeś przynajmniej wziąć szczeniaka.

- Przecież to jest właśnie szczeniak.

Wytrzeszczyła na niego oczy.

- To ten potwór jeszcze urośnie?

John dostał ataku śmiechu. Bezskutecznie próbował udawać, że to tylko kaszel.

- Umówmy się, że zadzwonicie do mnie, kiedy zdecydujecie się na kolejny prezent dla Lizzie - powiedział w końcu. - Ja rozejrzę się za jakimś spokojnym kucykiem.

- Dziękuję - rzekła Rhiannon i wyciągnęła rękę na pożegnanie. - Pozdrów tatę.

- Powiem mu, że przyjdziecie z wizytą.

- Dobrze.

Uśmiechała się jeszcze, gdy John opuszczał stajnię. Kątem oka zauważyła, że Kane podszedł bliżej. Skrzyżował ręce na piersi. Był wyraźnie spięty. Wyczuła to i wzięła głęboki oddech.

- To nie jest facet dla ciebie - odezwał się.

Odwróciła głowę w jego stronę. Przyglądał się jej uważnie i wyglądał bardzo atrakcyjnie. Odruchowo zwilżyła usta. Miała nadzieję, że Kane nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo ją pociąga.

- A jaki byłby odpowiedni? - spytała zaczepnie.

Kane zmarszczył brwi.

- Na pewno nie on. Nie dorównuje ci pod żadnym względem.

Nie zamierzała w najbliższym czasie umawiać się na randki, ale nie miała też ochoty słuchać pouczeń.

- Tego nie możesz wiedzieć - stwierdziła.

Uśmiechnął się z wyższością.

- Jestem pewien.

- Krótko mówiąc, to ty będziesz dobierał mi narzeczonych i sprowadzał tu stada zwierząt, którymi będę musiała się opiekować po twoim wyjeździe?

- Lizzie chce kucyka. Dobrze o tym wiesz. Na razie nie wyjeżdżam, więc daj sobie spokój z narzeczonymi.

Zdaje się, że byłby to dla niego poważny problem, pomyślała, jednak nie zamierzała doprowadzić do sprzeczki. Skupiła się na sprawie kucyka. Nagle przyszła jej do głowy niepokojąca myśl.

- Czy ty przypadkiem nie chcesz wkupić się w jej łaski za wszelką cenę?

- zapytała. - Nie musisz tego robić. Już i tak zwariowała na twoim punkcie.

Czyżby na serio uważał, że na tym polega rola ojca? - pomyślała ze zdumieniem. Cóż, będzie musiał sporo się nauczyć. Wybrał najgorszy sposób nadrobienia zaległości. Jak mógł nie zauważyć, że Lizzie bardzo na nim



zależy? Rhiannon ciągle widywała ich razem i nie miała o to żalu. Kane w towarzystwie córki stawał się bardzo delikatny, troskliwy i wyrozumiały do przesady. Nie krył swoich uczuć, natomiast nie miał pojęcia o wychowywaniu dzieci.

Rhiannon też niewiele wiedziała na ten temat, dopóki sama nie została matką. Mijały lata, a ona ciągle uczyła się swojej roli. Często na własnych błędach. Nie mogła pojąć sposobu myślenia Kane'a. Kupując Lizzie drogie prezenty i spełniając wszystkie jej kaprysy, chce sprawić, żeby kochała go jeszcze mocniej?

- Kupisz jej wszystko, o czym tylko zamarzy? Tak po prostu? Kane...? - zapytała.

Zmarszczył czoło.

- Nie mam prawa kupować prezentów własnej córce? - odpowiedział pytaniem.

Wyprostował się i spojrzał na nią z góry. Być może robiło to wrażenie na innych, ale nie na niej. Zaczepnie uniosła głowę. Cóż, niedawno tłumaczył, że powinni się porozumieć w sprawach dotyczących dziecka...

- Doskonale wiesz, że chodzi mi o coś zupełnie innego. Byłoby lepiej, gdyby kochała cię za to, jaki jesteś, a nie z powodu prezentów, jakie może dostać. Nie sądzisz?

Tak właśnie było z nimi przed laty. Teraz też zdarzało się jej wracać myślami do tamtych chwil.

Skinał głową, spojrzał na nią i odwrócił wzrok. Niesforny kosmyk zsunął mu się na czoło. Jego włosy stawały się jej obsesją. Kiedyś, gdy siadywali razem przed ekranem komputera, odruchowo kładła mu dłoń na karku i bawiła się jego włosami. Zapomniała już o tym. Może dlatego, że chciała?

Kane odetchnął głęboko.

- Ciągłe mam uczucie, że powinienem nadrobić dziesięć lat bez żadnego prezentu na urodziny, pod choinkę i przy innych okazjach. Pies i kucyk nie są czymś przesadnym, jeśli wziąć to pod uwagę. Nie myślałem o kupowaniu jej uczuć - odrzekł i odwrócił się, by odejść.

Rhiannon poczuła się niezręcznie, ale przynajmniej jedna sprawa została wyjaśniona. Pozostaje pytanie, które dręczy ją od lat. Żeby uzyskać odpowiedź, należałoby je zadać. Najlepiej teraz.

- Dlaczego zniknąłeś?

Kane zatrzymał się w miejscu, jakby wyrosła przed nim niewidzialna ściana. Odwrócił głowę.

- Kiedy?

- Dobrze wiesz.

- Teraz nie ma to już znaczenia. Staramy się naprawić różne sprawy, więc zostawmy ten temat.

Rhiannon podeszła bliżej.

- Obawiam się, że nie potrafię o tym zapomnieć. Oczywiście, nie mogę zmienić przeszłości, ale każda akcja wywołuje reakcję. Gdybym wiedziała, jak cię znaleźć, na pewno starałabym się, żebyś poznał prawdę. Jednak ty zniknąłeś jak duch dosłownie z dnia na dzień. Nie było z tobą żadnego kontaktu. Potem okazało się, że założyłeś firmę. Dowiedziałam się o tym z gazet. Lizzie miała wtedy niecałe trzy lata.

Przerwała na chwilę. Starła się uporządkować myśli i mówić spokojnie.

- Teraz wiem, że zrobiłam błąd. Powinam cię była o tym poinformować. Chcę jednak wiedzieć, dlaczego porzuciłeś uczelnię i gdzie byłeś przez te wszystkie lata.

Kane zerknął na nią przelotnie i zacisnął zęby. Zamyślił się. Jego wzrok błędził po ścianie. Najwyraźniej nie mógł się zdecydować na odpowiedź.

Rhiannon podeszła jeszcze bliżej. Najchętniej wzięłaby go za rękę i spojrzała w oczy, by zachęcić go do mówienia. Jednak stała bez ruchu z opuszczonymi rękami, przygryzając usta. Zależało jej na tej informacji. Czuła, że bez tego nigdy nic nie zrozumie.

Kane nadal się wahał.

- Muszę wiedzieć - powtórzyła, by go przekonać.

Spojrzał na nią, marszcząc brwi.

- To naprawdę nie ma znaczenia. Podejmowaliśmy wtedy decyzje, nie zdając sobie sprawy z możliwych konsekwencji.

Przyjął więc wreszcie na siebie część odpowiedzialności za dawne wydarzenia. Kamień spadł jej z serca. Nie oskarżał już Rhiannon o wszystkie nieszczęścia świata. Jednak nadal chciała poznać prawdę.

- Dla mnie ma znaczenie. Jeśli przywiązujesz wagę do tego, jak wtedy postąpiłam, dlaczego dla mnie ma to być obojętne? Przecież wszystkie te okoliczności są ze sobą powiązane.

- Możliwe - przyznał cicho. - Zastanawiałem się nad tym. Świadomość pewnych spraw niczego nie zmienia. Zaczęliśmy się dogadywać w sprawie naszego dziecka. Przyznasz, że to najważniejsze?

- Oczywiście.

W tym przypadku nie budziło to wątpliwości.

- Nadal uważam, że powinnam wiedzieć - stwierdziła uparcie.

Odwrócił się do niej plecami. Westchnęła. Przyrzekła sobie, że spróbuje po raz ostatni. On nie musi wiedzieć, jakie to jest dla niej ważne, ale być może ma rację, mówiąc, że już nie powinno mieć znaczenia.

- Kane, obserwuję was, gdy jesteście razem. Przy niej stajesz się taki, jaki bywałeś dawniej. Nie chcę nosić w sobie urazy, która narosła, kiedy mnie zostawiłeś z dzieckiem. Byłam wtedy śmiertelnie przerażona. Nie miałam z

kim porozmawiać ani na kogo liczyć. Fakt, że ojciec dziecka przepadł bez wieści, naprawdę mi nie pomógł. Musiałam sama przebrnąć przez tamten okres i chyba nigdy ci tego nie wybaczyłam - powiedziała.

Zbliżyła się do niego o kolejny krok.

- Naprawdę chciałabym zrozumieć, a potem zapomnieć. To wszystko.

- Rzeczywiście sądzisz, że to takie proste? Powiem ci, dlaczego odszedłem, a ty zapomnisz o dziesięciu latach nienawiści? Aż tak dobrze panujesz nad emocjami? - spytał z niedowierzaniem.

Jego sarkastyczny ton ostatecznie wyprowadził ją z równowagi.

Postanowiła, że nigdy więcej nie wyciągnie ręki do zgody. Szybko wyminęła go i szła w stronę szerokich wrót stajni, by wreszcie przestać o nim myśleć.

- Byłem chory - usłyszała.

Zatrzymała się. Natychmiast przypomniała sobie dzień, gdy Mattie zwierzył się jej, że jest poważnie chory.

Odwróciła głowę i przyjrzała się Kane'owi uważnie, jakby spodziewała się zobaczyć taki sam smutek i załamanie, jakie widziała na twarzy Mattiego.

- Co to za choroba? - zapytała.

- Na tyle poważna, że potrzebowałem długiego czasu, żeby dojść do siebie - odparł. - Nie obawiaj się, to nic zakaźnego.

Do diabła! Czy on zawsze musi silić się na złośliwości? - pomyślała.

- Nie o to mi chodzi - stwierdziła.

Kane unikał jej spojrzenia.

- To był nowotwór złośliwy - wykrztusił w końcu.

Spodziewała się takiej odpowiedzi, a jednocześnie łudziła się, że może jednak usłyszy coś innego.

- Nie! - zawołała, jakby krzykiem mogła zmienić przeszłość.

Kane zauważył jej zrozpaczoną minę.

- Miałem nawroty i leczenie trwało bardzo długo. Dopiero teraz pewne drobne wydarzenia zaczęły się łączyć w logiczną całość.

- Dlatego ty i Mattie nagle staliście się takimi oddanymi przyjaciółmi - domyśliła się.

Przypomniała sobie, że przyjaźnili się już na uniwersytecie, ale dopiero po latach stali się niemal nierozłączni. Dawniej Rhiannon nie zastanawiała się nad tym. Teraz zrozumiała przyczyny.

- Mielicie ze sobą coś wspólnego. Mattie przez większą część życia walczył z białaczką.

- Tak, ale ja wygrałem swoją walkę, a on przegrał - powiedział Kane, marszcząc czoło.

Ze zdziwieniem zauważyła, że powiedział to takim tonem, jakby czuł się winny. Rhiannon miała wrażenie, że ziemia zaczęła wirować pod jej stopami. Dotychczas wszystko wydawało się jej oczywiste.

- Wiedział, dlaczego wtedy zniknąłeś?

Kane podszedł bliżej.

- Początkowo nie miał pojęcia, ale kilka lat temu, gdy choroba się nasiliła, dowiedział się. Pewnie znał prawdę o Lizzie?

Skinęła głową.

- Tak.

- Tego się spodziewałem. Cóż, szkoda, że sam na to nie wpadłem, chociaż powinienem.

- Raczej ja powinnam była cię znaleźć i wyjaśnić sytuację. Gdybym tylko wiedziała... Zastanawiam się, dlaczego Mattie nie wspomniał o twojej chorobie?

Kane nie spieszył się z odpowiedzią. Pytająco spojrzała mu w oczy. Uśmiechnął się ciepło.

- Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że ani ty nie upoważniłaś go do udzielania informacji na temat Lizzie, ani ja na temat mojego zdrowia.

Rhiannon musiała mu przyznać rację. Mattie spytał ją kiedyś wprost, czy Lizzie jest dzieckiem Kane'a. Wtedy wymogła na nim przyrzeczenie, że pod żadnym pozorem nie powie o tym Kane'owi. W przeciwnym razie nigdy mu tego nie wybaczy. Mattie jako oddany przyjaciel uszanował jej wolę, choć bardzo protestował.

Cóż, ona postąpiła w ten sposób, bo uważała, że to najlepsze wyjście. Natomiast nie rozumiała, dlaczego Kane ukrywał prawdę.

- Nikomu nie mówiłaś o swojej chorobie?

Wzruszył ramionami, jakby ten temat był mu zupełnie obojętny.

- Wiedziała tylko najbliższa rodzina. Ujawnienie faktu, że mam raka, na pewno nie zachęciłoby inwestorów. Przecież właśnie wtedy zaczynałem tworzyć firmę. Zresztą nawet teraz nie chcę, żeby akcjonariusze wiedzieli cokolwiek na ten temat.

- Wspominałaś o nawrotach. Czy teraz...?

- Nie. Wszystko jest w porządku już od ośmiu lat. Natomiast ludzie nie chcą ryzykować. Nie powierzą kapitału firmie, której właściciel ma lub miał raka.

Poza tym inaczej człowieka traktują, pomyślała. Mattie potrafił żartować na temat swojej choroby, natomiast Kane wszystko głęboko przeżywał. Jego sposób bycia bardzo się zmienił. Zauważyła to, ale dopiero teraz zrozumiała przyczyny.

Odseparował się od świata, samotnie zmagając się z losem i nauczył ukrywać emocje. Początkowo była zazdrosna o jego doskonały kontakt z córką. On po prostu potrafił być szczery i otwarty z własnym dzieckiem. Rhiannon w takich chwilach czuła się opuszczona, a wynikało to z faktu, że

sama potrzebowała tego rodzaju kontaktu. Bycie z dzieckiem wyrывało ją z poczucia samotności i dodawało wiary w siebie.

Kane spojrział teraz na nią i po raz pierwszy źle odczytał jej wyraz twarzy.

- Nie potrzebuję twojego współczucia - powiedział. - Byłem chory, jestem zdrowy i nie ma o czym mówić.

- Przecież nie użalam się nad tobą... - zaczęła i urwała, widząc jego minę.

Po prostu teraz rozumiała więcej. Tymczasem Kane wziął głęboki oddech, wyprostował się i podszedł bliżej. Rhiannon westchnęła. Nie miała pojęcia, co zamierzał, a on po prostu pochylił się i zaczął mówić przyciszonym głosem:

- Teraz już wiesz wszystko. Zaczęliśmy rozmowę od Lizzie. Być może strasznie ją psuję i rozpieszczęm, ale postaram się nad tym zapanować. Nie musisz się martwić. Natomiast na pewno nie chcę jej przekupić, żeby bardziej mnie kochała.

Rhiannon uniosła głowę. Starła się coś powiedzieć, znaleźć jakieś słowa, ale tylko patrzyła na Kane'a, jakby zobaczyła go po raz pierwszy. Kane również uważnie patrzył jej w oczy. Bardzo chciała, by ją pocałował.

- Jak każdy ojciec chciałbym, żeby po prostu mnie kochała - dodał.

- Kocha cię.

- Mam nadzieję, że tak jest. To jedyne dziecko, jakie mam i będę miał. Z powodu nowotworu nie zostanę ojcem po raz kolejny.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

Powoli w ich życie wkradła się rutyna. Nie okazało się to wcale takie straszne, jak Rhiannon się obawiała. Miała jednak świadomość, że nie wszystko jest w porządku. Nadal Lizzie stanowiła dla niej tarczę ochronną, gdy pojawiał się Kane. Powinni się porozumieć i ustalić wspólną linię postępowania.

Przez chwilę wydawało się to możliwe. Szybko przekonała się, że miała wiele powodów, by go lubić, i żadnego powodu do nienawiści. Jednak kiedy był w pobliżu, natychmiast wracało dawne napięcie.

Każdy dzień był więc dla niej jak egzamin. Musiała poradzić sobie z ogarniającymi ją uczuciami. Obserwowała Kane'a i jego zabawy z córką. Widziała, jak na nią patrzył, i nie mogła zapomnieć, że to jedyne dziecko w jego życiu. Sama nie marzyła o kolejnym dziecku, przynajmniej dotychczas. Myślała ze współczuciem o okresie, gdy Kane jako młody chłopak samotnie zmagał się z groźbą śmierci.

Tymczasem wcielił się w rolę ojca Lizzie, jakby zawsze był przy niej. Lubił zawozić ją do szkoły i po drodze plotkować w samochodzie. Z radością witał ją po lekcjach, gdy biegła, by opowiedzieć, co się tego dnia wydarzyło. Chętnie pomagał jej odrabiać lekcje i podobnie jak Rhiannon, lubił wieczorne rozmowy przy kolacji. Siedzieli wtedy razem przy stole, rozmawiali i śmiali się beztrąsko. Jednak dla Rhiannon te chwile miały gorzki posmak. Zdawała sobie sprawę, że tak mogłoby wyglądać ich codzienne życie, gdyby byli prawdziwą rodziną.

Mimo codziennych obowiązków znalazła czas, by czytać książkę wyjaśniającą zasady i zawiłości prowadzenia domu wielkości Brookfield.



Dzięki temu nie była skazana na ciągle rozmyślanie i rozterki, gdy Lizzie była w szkole. Cóż, Kane przecież ma wyjechać, a Brookfield niewątpliwie pozostanie w tym samym miejscu, myślała. Co prawda ona ma dom, ale on resztę posiadłości, a to oznacza, że są ze sobą związani. Nie widziała możliwości, by uwolnić się od jego osoby.

Gdy po lunchu siedziała nad notatkami, poczuła narastający ból głowy. Najwyższy czas wyjść na powietrze, pomyślała. Wstała zza stołu i wyszła na tyły posesji. Na tym skończył się jej zaplanowany spacer, bo od strony stajni usłyszała hałas.

Spojrzała w tamtym kierunku i podeszła bliżej. Kane z podwiniętymi rękawami koszuli zdejmował widłami kolejne bele słomy i roztrząsał je na podłodze boksu.

Przez chwilę obserwowała jego pracę, napięte mięśnie i krople potu na czole. Patrzenie na niego sprawiało jej niemal zmysłową przyjemność. Pomyślała, że teraz najlepiej zrobiłaby, odchodząc z tego miejsca jak najdalej. Zabrakło jej jednak silnej woli.

- Lizzie ci nie daruje, że zrobiłeś to bez niej - zażartowała.

Kane zaskoczony uniósł głowę i uśmiechnął się szeroko.

- Wybacz mi wszystko, kiedy pojedziemy po to czworonożne bydlę.

Dla niego sprawa była prosta, natomiast Rhiannon obawiała się kolejnych kłopotów. Co prawda udało im się osiągnąć porozumienie i Rhiannon była mu za to wdzięczna. Jeśli kucyk stanie się częścią ich codziennego życia, jak Winston, będzie cudownie. Miała nadzieję, że nie skończy się to tak, że w czasie nieobecności Lizzie kucyk będzie biegał za nią po całym domu. Chociaż właściwie chyba nie może być większy niż Winston? - pocieszała się z sarkazmem.

- Zdajesz sobie sprawę, że owinęła cię wokół małego palca? - zapytała.

- Tylko dlatego, że jej na to pozwoliłem.

Rhiannon wybuchnęła śmiechem.

- Kłamczuch - stwierdziła.

Kane uśmiechnął się do niej. Pomyślała, że właśnie takie chwile są najprzyjemniejsze. Rozmawiają ze sobą szczerze i otwarcie. Za słowami nie kryją się żadne niedopowiedzenia. Dlaczego on nie potrafił zachowywać się tak przez cały czas?

- Bądź dla mnie miła, bo wymyśliłem coś specjalnie dla ciebie. -

Spojrzała na niego zaskoczona. - Lizzie mówi, że toniesz w dokumentach i rachunkach - ciągnął. - Najwyższy czas skomputeryzować te sprawy.

Coś takiego! Pomyślał nawet o mnie, stwierdziła w myślach i opuściła głowę.

- Szczerze mówiąc, dostaję już od tego zeza - przyznała.

- To świetnie - rzekł z uśmiechem. - Oczywiście, nie mam na myśli zeza - dodał pospiesznie. - Znajdę kogoś, kto przygotuje dla ciebie system.

Sam prosi się o złośliwości, pomyślała.

- Słuchaj, czy chcesz przez to powiedzieć, że jesteś za drogi dla mnie?

- Cóż... - zaczął, przechylając głowę na bok. - Zasadniczo to prawda.

Jednak chodzi mi o kogoś mieszkającego w pobliżu, żeby mógł rozwiązać ewentualne problemy, gdy mnie tu nie będzie.

Niespodziewanie poczuła dreszcz na plecach.

- Spodziewałam się, że taki dzień nadejdzie. Lizzie będzie za tobą tęsknić - powiedziała.

Zdała sobie sprawę, że jej też może być przykro.

- Ja też będę tęsknił, ale tym razem nie wyjadę daleko.

Zapadła cisza i Rhiannon znów poczuła się niezręcznie.

- Pójdę teraz z Winstonem na spacer. To mi pomoże zebrać myśli - stwierdziła i odwróciła się.

- Właściwie mogłabyś mi pomóc. - Odstawił widły i sięgnął po butelkę z wodą.

- Już cię zmęczyło rozrzucanie słomy?

- Potrzeba na to więcej słomy, niż myślałem. Poza tym nie codziennie zajmowałem się przygotowywaniem komfortowej sypialni dla kucyka. Brak mi wprawy - przyznał, odkręcając butelkę.

- Dlatego Lizzie powinna w tym uczestniczyć. Musi wiedzieć, że odpowiada za swoje zwierzęta - tłumaczyła.

Kane wypił pół butelki i niedbale skinął głową. Po raz pierwszy Rhiannon zaczęła się zastanawiać, czy brakuje mu takiego życia, jakie prowadził w Dublinie. Znała tylko fakty dotyczące jego firmy, natomiast prywatne życie stanowiło tajemnicę. Co prawda widywała jego zdjęcia w czasopismach, ale zwykle były to jakieś oficjalne spotkania, na których zjawiał się w towarzystwie eleganckich kobiet. Ciekawe, czy był w jakimś stałym związku? Jego osobiste sprawy właściwie jej nie obchodziły. Była to z jej strony zwykła ciekawość. Przecież kobieta w jego życiu stanie się też częścią życia Lizzie. Ta myśl zupełnie nie przypadła jej do gustu.

Kane odstawił butelkę.

- Chodź, we dwójkę będzie szybciej. - Chwycił ją za łokieć i poprowadził w głąb stajni. - Ty rozrzucisz słomę na tym końcu, a ja na przeciwnym. Spotkamy się na środku.

Rhiannon uwolniła rękę z uścisku. Zawinęła rękawy i schyliła się po słomę.

- Nie mogę spóźnić się do szkoły po Lizzie - zauważyła.

- We dwoje uwiniemy się z tym szybko. Zdążysz.

Przez dłuższy czas pracowali w milczeniu. Warstwa słomy rosła w oczach. W końcu znaleźli się na środku i praca ramię w ramię w zupełnej ciszy stała się nie do zniesienia.

- Pewnie tęsknisz za Dublinem? - odezwała się Rhiannon, starając się, by zabrzmiało to swobodnie. I od razu pożałowała, że nie poruszyła jakiegoś obojętnego tematu. Zażarta dyskusja na temat pogody byłaby idealnym wyjściem.

- Może trochę. Życie na wsi nie jest tak nudne, jak mi się wydawało.

- Racja, twoi rodzice mają przecież dom na wsi. Zupełnie o tym zapomniałam.

To tłumaczyło jego przebieranie się w robocze stroje. Dobrze wie, co powinien mieć na sobie, gdy zabiera się do fizycznej pracy. Natomiast Rhiannon dopiero nabierała doświadczenia.

- Tak, ale teraz rzadko tam bywam. Muszę jednak przyznać, że spędzić dzieciństwo w takiej okolicy to prawdziwa przyjemność. Lizzie też polubi tutejsze życie - stwierdził z przekonaniem.

Rhiannon zauważyła, że szybko zmienił temat na bezpieczny, jakim zawsze była rozmowa o Lizzie. Znow zapadła krepująca cisza.

- Chyba wygodniej jest mieszkać w mieście, kiedy się prowadzi dużą firmę - powiedziała.

Spojrzał na nią z uśmiechem.

- Teoretycznie tak, bo firma potrzebuje pracowników, a w mieście łatwiej znaleźć specjalistów. Natomiast gry i oprogramowanie można tworzyć w dowolnym miejscu.

Dlatego może tu siedzieć tak długo, pomyślała. Jednak życie składa się nie tylko z pracy.

- Zwykle w mieście można mieć dużo więcej kontaktów towarzyskich - powiedziała, starając się sprowokować go do zwierzeń.

- Już zaczęłaś tęsknić za wieżowcami i światłami wielkiego miasta? - spytał.

Rhiannon przewróciła oczami.

- Jasne. Brak mi tych nieustannych imprez towarzyskich, w których my, samotne matki, uczestniczymy na co dzień - odparła z sarkazmem.

Spojrzał jej w oczy. Zwykle po takich uwagach dodawał złośliwe komentarze na temat pozbawienia go kontaktów z córką. Tym razem tylko się uśmiechnął.

- Rozumiem. Tak samo wygląda sytuacja, kiedy prowadzisz dużą firmę i odpowiadasz za setki ludzi.

Znów zajęli się pracą, ale po chwili Rhiannon odważyła się na ironię.

- Cóż, sądząc ze zdjęć w prasie z różnych uroczystych spotkań, muszę przyznać, że świetnie sobie radziłeś.

Na chwilę przerwał pracę i spojrzał na nią. Powiedziała to tak, jakby interesowało ją jego prywatne życie. Nie skomentował jednak jej uwagi i ponownie skupił się na urządzaniu boksu. Rhiannon odetchnęła z ulgą, choć w jego obecności ciągle odczuwała napięcie. Zamierzała poruszyć jakiś inny, bezpieczny temat, ale on zdążył ją uprzedzić.

- Myślisz, że już wystarczy? - spytał.

Uśmiechnęła się do siebie. Kane Healey najwyraźniej też nie lubi krępującej ciszy.

- Kucyk będzie tu miał lepsze warunki niż w luksusowym hotelu. Na pewno wystarczy. Zresztą, dlaczego mnie pytasz? To ty wychowywałeś się na wsi. W dzieciństwie nie widywałam kucyków zbyt często.

Spojrzała na niego zaczepnie. Odpowiedział jej radosną miną i skinieniem głowy

- Mieliliśmy z bratem doskonały sposób, żeby sprawdzić, czy warstwa słomy jest wystarczająco gruba. Korzystaliśmy wtedy z pomocy siostry.

- W takim razie skorzystajmy z tej metody - zaproponowała.

- Jeśli tego naprawdę chcesz...

- Na czym to polegało? - spytała, patrząc podejrzliwie na jego łobuzerską minę.

- Rzucaliśmy ją na słomę. Jeśli uderzyła o beton, to znaczyło, że trzeba dołożyć słomy.

Rhiannon westchnęła. Niemożliwe, żeby się ośmielił...

- Nawet nie próbuj! - ostrzegła i lekko ugięła nogi, przygotowując się do ucieczki.

Kane jednak ruszył w jej stronę.

- Ostrzegam cię! - dodała, podnosząc całe naręcze słomy.

Jeszcze przed chwilą Kane nie myślał na serio o pościgu, ale szybko zmienił zdanie.

- Zostaw tę słomę! - zawołał.

- Nie ma mowy. Sprawdź grubość ściółki jakimś innym sposobem.

Kane zaczerpnął powietrza i rzucił się do przodu. Chwycił ją i uniósł. Rhiannon wypuściła wiązkę słomy i chwyciła go za koszulę. On zaś zaczął kołysać ją na rękach, głośno licząc:

- Raz, dwa...

Roześmiała się nerwowo i chwyciła go za szyję.

- Przestań, bo upadniemy razem! - zawołała.

- Sama zaczęłaś.

- Nieprawda!

- Potraktuj to jako inicjację w prawdziwe wiejskie życie. - Dokończył zdanie i rzucił ją przed siebie.

Rhiannon nie zwolniła uścisku, więc lądując na słomie, pociągnęła go za sobą. Kane upadł na kolana. Rhiannon chwyciła garść słomy i rzuciła mu na głowę. Przez chwilę trwała zażarta walka. W końcu oboje zdecydowali się na odpoczynek. Leżeli obok siebie, ciężko dysząc.

- Ani grama słomy więcej - odezwał się Kane po chwili.

Rhiannon roześmiała się głośno.

- Twoja biedna siostra często wykonywała takie przymusowe loty? - zapytała.

- Kilka razy w ciągu roku - przyznał.

- Byłeś strasznym łobuzem.

- Teraz też jestem, ale już w dorosłej wersji.

- Zadziwiająco słuszne spostrzeżenie - zgodziła się z chichotem.

Wyciągnął dłoń i odsunął jej kosmyk włosów z czoła.

- Jest teraz niemal tak jak dawniej - zauważył.

- To prawda - przyznała.

Odsunął kolejny kosmyk i delikatnie musnął szyję opuszkami palców.

- Lubiałaś mnie wtedy o wiele bardziej.

- Już dawno zapomniałam, że cię nie lubiłam - przyznała.

- Nie lubiałaś mnie przez całe lata. Co takiego się stało, że zmieniłaś zdanie? - spytał, wyciągając źdźbło słomy zza jej dekoltu.

Przeszedł ją dreszcz, gdy musnął ją palcami.

- Widzę, jak traktujesz Lizzie. Nie jesteś takim złym człowiekiem, jak próbowałam sobie wmówić.

Patrzył na nią, słuchając jej uważnie. Dobrze wiedział, że Rhiannon mówi szczerze. Delikatnie dotknął jej policzka. Pomyślała, że powinna

natychmiast wstać i stąd uciekać. Pamiętała, jak Kane potrafił działać na jej zmysły. Westchnęła, gdy dotknął palcami jej ust.

- To nie jest dobry pomysł - odezwała się.
- Wiem - przyznał zmienionym głosem.
- Nie ma sensu powtarzać tego wszystkiego od początku.
- To prawda.
- Teraz łączy nas tylko dziecko.

Na chwilę przymknął oczy.

- Jest jeszcze coś - powiedział i delikatnie ją pocałował.

Zareagowała tak jak dawniej. Odruchowo wyciągnęła rękę i wplotła mu palce we włosy. Pocałował ją mocniej, przytulając do siebie. Rhiannon zachowała resztki świadomości. Mieli za sobą cudowne chwile, ale nie czeka ich wspólna przyszłość. Cofnęła rękę. Krótki namiętny związek jej wystarczył, gdy była bardzo młoda.

- Muszę jechać po Lizzie - odezwała się.

Kane skinął głową. Wstał i się otrzepał.

- Powinnaś się przebrać.
- Jasne.

Wstała i ruszyła do wyjścia.



## *ROZDZIAŁ DZIESIĄTY*

Kane nie potrafił zrozumieć własnego zachowania. Dlaczego zaczął ją całować? Było to zupełnie niezamierzone. Po prostu odruch, za który miał do siebie pretensję. Właściwie było to niczym echo przeszłości. Mieli za sobą wspólne chwile, o których trudno było zapomnieć. Jednak teraz jako dojrzały mężczyzna powinien lepiej panować nad odruchami.

Właśnie na tym polega problem. Od chwili, gdy w środku nocy zjawił się w tym domu, przestał kontrolować sytuację. Stracił niezachwianą pewność siebie, przestał być skryty i w różnych sytuacjach pozwalał sobie na całkowitą szczerość. W gruncie rzeczy była to reakcja na zachowanie Rhiannon. Miała rację w sprawie jego nagłego zniknięcia. Gdyby wtedy nie odszedł, ich życie potoczyłoby się inaczej.

Oczywiście, miał wtedy tylko dwadzieścia jeden lat i wydawało mu się, że jest niepokonany, a świat leży u jego stóp. Nagle okazało się, że jest poważnie chory i być może długie życie nie było mu pisane. Przeżył ogromny wstrząs. Jednak nie poddawał się, walczył i ostatecznie zwyciężył. Spotkał Mattiego, który prowadził podobną walkę i przegrał. Wtedy Kane poważnie przeanalizował swoje dotychczasowe życie.

Poniekąd czuł się winny wobec Mattiego z powodu własnego zwycięstwa.

Uśmiechnął się teraz, widząc Lizzie. Usiłowała właśnie zabrać gigantycznemu szczeniakowi wypchaną małąkę. Każdy dzień spędzony w jej towarzystwie zwiększał jego miłość. Ostatecznie Lizzie to pewnego rodzaju cud. Wiedział, że nie może mieć dzieci, a tu nagle okazuje się, że jest ojcem! Ten fakt związał go z Rhiannon na całe życie.

Pociągała go od pierwszej chwili. Poznał ją, gdy stała za ladą w kafejce naprzeciwko uczelni. Uśmiechnęła się do niego z błyskiem w oku, poplirtowali przez chwilę, a potem nie mógł się doczekać kolejnego spotkania. Przychodził codziennie, jakby uzależnił się od jej widoku. Był jednak typowym młodym mężczyzną, no i kierowały nim hormony. Nie zastanawiał się nad przyszłością. Życie stanowiło ciągłą przygodę. Dopiero choroba zmusiła go do innego spojrzenia na rzeczywistość.

Teraz oparł się na łokciach i wyciągnął nogi. Przymknął oczy, wystawiając twarz do styczniowego słońca, i nabrał w płuca świeżego ostrego powietrza. Nie mógł uwolnić się od wspomnień. Gdy zachorował, rozstanie z Rhiannon było jednym z wielu kroków, które podjął, by odizolować się od świata. Jak ułożyłoby się ich życie, gdyby nie zniknął? Czy przetrwaliby próbę czasu jako szczęśliwa rodzina? Nie lubił zadawać sobie takich pytań. Unikał ich, podobnie jak kobiet, które chętnie związałyby się z nim na zawsze.

Rhiannon pociągała go jak dawniej, co do tego nie miał wątpliwości. Ich pocałunek w stajni był tego najlepszym dowodem. Zapewne podświadomie marzył o tym od dawna.

Rhiannon zwykle była smutna, a wiadomość o jego chorobie potraktowała jak osobiste nieszczęście. Być może tym pocałunkiem chciał rozproszyc jej przygnębienie.

Otworzył oczy i bezwiednie popatrzył w kierunku oszklonej werandy na zapleczu domu. Rhiannon spędzała tam ostatnio coraz więcej czasu. Ukrywa się przede mną, pomyślał.

Usłyszał śmiech Lizzie. Po chwili dziewczynka podbiegła do niego.

- Kane! - zawołała. - Czy możemy iść z Winstonem nad jezioro? Wczoraj bardzo mu się tam podobało!

- Dobrze - odpowiedział, wstał i zamknął okno. - Za chwilę będę gotów. Najpierw spytamy, czy mama chciałaby z nami pójść. Jej też przydałby się spacer.

- Super!

Rhiannon nie słyszała jego kroków, ale wyczuła, że się zbliżał. Uniosła głowę i poprawiła niesforne kosmyki włosów, które zsunęły się jej na czoło.

- Cześć - powitał ją Kane. Żałował, że od chwili owego nieszczęsnego pocałunku panowało między nimi napięcie.

- Chyba jeszcze za wcześnie na lunch? - spytała niezbyt przytomnie i spojrzała na zegarek. - Czy coś się stało?

- Nie, wszystko w porządku. Lizzie chce wiedzieć, czy miałabyś ochotę na spacer. Obiecałem, że cię zapytam - wyjaśnił, patrząc jej w oczy.

Uśmiechnęła się lekko.

- Chętnie się przejdę. Dobrze mi robi oderwanie się od książek.

Twarz Kane'a pojaśniała. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zostać w drzwiach. Mógłby łatwo się wycofać, gdyby rozmowa stała się nieprzyjemna. Jednak w końcu wszedł do pokoju i oparł się o wielkie biurko, za którym dawniej siadywał Mattie. Rozmawiali wtedy o interesach i codziennym życiu. Nikt nie mógł im tu przeszkodzić, więc poruszali również osobiste i bolesne tematy, takie jak na przykład lęk, do których mężczyźni niechętnie się przyznają.

Teraz, patrząc na Rhiannon, zdał sobie sprawę, że choć była ładna, mając osiemnaście lat, jako dwudziestodziewięcioletnia kobieta naprawdę rozkwitła. Pociągała go bardziej niż wtedy. Zaczęło dręczyć go pytanie, co by się stało, gdyby tam, na słomie, nie poprzestali na pocałunkach...

- Nadal walczysz z rachunkami? - zapytał.

Rhiannon westchnęła i machnęła ręką. Poprawiła dokumenty na biurku i spojrzała na niego.

- Muszę się jeszcze wiele nauczyć - przyznała. - Prowadziłam już różne rozliczenia, ale to...

- Budynek z przyległościami jest naprawdę duży - stwierdził, jakby chciał ją pocieszyć.

- Właśnie, i czuję się za to wszystko odpowiedzialna.

- Widocznie Mattie uznał, że poradysz sobie bez problemu.

Rhiannon odchyliła się na krześle i roześmiała.

- Być może tym razem strasznie się pomylił - oświadczyła.

Kane nie mógł tego pojąć. Przecież Rhiannon była jedyną osobą, która zachwycała się Brookfield tak jak Mattie. Tego rodzaju posiadłości należały już do rzadkości. Trzeba było wielkiego uporu, by utrzymać je w dobrym stanie. Kiedyś przechodziły w rodzinach z pokolenia na pokolenie. W Irlandii właściciele ziemscy byli znienawidzeni i często dochodziło do ekscesów. Wypędzano ich z posiadłości, a budynki palono i niszczone. Brookfield szczęśliwie przetrwał najgorsze czasy, a jego właścicielką jest teraz Irlandka. Niewątpliwie w przyszłości zechce przekazać majątek córce, myślał gorączkowo Kane.

Lizzie była również jego córką, a sprawa dotyczy jej przyszłości. Jako ojciec ma prawo i obowiązek zadbać o przyszłość dziecka. Wtedy nagle przyszło mu coś do głowy. Zmarszczył czoło.

- O co chodzi? - spytała Rhiannon, widząc jego minę.

- Przeglądasz stare rachunki, wpływy i wydatki. Czy przypadkiem z tych kalkulacji nie wynika, że budynek musi korzystać z dochodów, które przynosi reszta majątku? - spytał, choć nie spodziewał się odpowiedzi. Mina Rhiannon

świadczyła, że dobrze odgadł. - Słuchaj, kiedy Mattie dowiedział się prawdy o Lizzie?

Rhiannon zamrugła zaskoczona.

- Nie widzę związku...

- Kiedy? - powtórzył spokojnie. - Nie zamierzam się z tobą kłócić o cokolwiek. Chcę tylko wiedzieć.

- Myślę, że bardzo wcześnie. Po twoim wyjeździe bardzo często przychodził do kafejki. Właściwie wtedy się zaprzyjaźniliśmy - wspominała z uśmiechem. - To on dał Lizzie pierwszego pluszowego misia. Była jeszcze maleńka. Jednak o nic mnie nie wypytywał, dopóki nie postanowiłam wyjść za Stephena.

Kane skinął głową. Spodziewał się podobnej odpowiedzi. Rhiannon zmrużyła oczy, patrząc na niego pytająco.

- Czy powinnam o czymś wiedzieć?

- Mattie dobrze wiedział, co robi. Wszystko zaplanował. Powinienem się domyślić - rzekł Kane, kiwając głową.

- Obawiam się, że nie rozumiem - przyznała Rhiannon.

Kane uśmiechnął się tajemniczo.

- Chodź na spacer. Po drodze opowiem ci, co wydedukowałem - oznajmił, starając się naśladować filmowego detektywa.

Zaśmiała się zaciekawiona. Odsunęła fotel i wstała zza biurka.

- Zgoda, tylko wezmę płaszcz - powiedziała. - Przepadam za tajemniczymi historiami.

- Moje najskrytsze tajemnice już znasz - przypomniał jej.

- Nie sądzę, żebyś przyznał się do wszystkich swoich wyczynów - stwierdziła pogodnym tonem.

- Wiesz wystarczająco dużo.

- Pewnie powinno mi to wystarczyć - skomentowała, opuszczając pomieszczenie.

Kane stał jeszcze przez chwilę w pustym pokoju, zastanawiając się.

Obeszli jezioro do połowy. Spacer był przyjemny, Lizzie doskonale bawiła się z Winstonem i panował przyjazny nastrój, pełen wzajemnej życzliwości. Jednak Rhiannon umierała z ciekawości, a Kane nie spieszył się z wyjaśnieniem. Miała nadzieję, że jego słowa nie wywołają kolejnych scysji.

Cieszyło ją wszystko, co mijali.

- Widzę, że naprawdę lubisz to miejsce - odezwał się Kane, idąc pół kroku za nią.

Wciągnęła do płuc kolejną porcję mroźnego powietrza i uśmiechnęła się. Właściwie szli tylko we dwoje. Lizzie zniknęła wśród drzew, by pojawić się na chwilę i znów zniknąć.

- To prawda.

Kane podszedł do brzegu jeziora i starał się ocenić, jak może być głęboko tuż przy brzegu.

- Wiedziałaś, że Mattie od dawna zamierzał zostawić ci ten dom?

- Nie - odparła, marszcząc czoło.

Na litość boską, Kane chyba nie wyobraża sobie, że w jakiś sposób wpłynęła na decyzję Mattiego? Byli prawdziwymi przyjaciółmi, bliskimi jak brat i siostra. Stanowił dla niej całą rodziną od chwili, gdy własna się od niej odwróciła. Najwyraźniej została uznana za czarną owcę, która zeszła na złą drogę.

- Decyzję musiał podjąć bardzo dawno - wyjaśnił Kane, zbierając płaskie kamienie, by puszczać kaczki na jeziorze. - Zapewne jeszcze zanim zaproponował mi zakup gruntów.

Podeszła bliżej, obserwując, jak rzucał kamieniami, które wielokrotnie odbijały się od powierzchni wody, zanim zatoneły. Uśmiechnął się do siebie.

- Miałem nadzieję, że jeszcze nie zapomniałem, jak to się robi - przyznał.

Rhiannon obserwowała go spod oka.

- Lizzie uśmiecha się tak samo jak ty - powiedziała cicho.

Kane nie był zaskoczony tym spostrzeżeniem.

- Jest też bardzo ładna - stwierdził z przekonaniem.

I jak go nie lubić? - pomyślała Rhiannon i pokręciła głową. Codziennie słyszała od niego coś, czego się nie spodziewała. Potrafił być naprawdę czarujący.

- Na szczęście ma matkę, która nie dopuści, żeby przewróciło się jej w głowie - oświadczyła żartobliwym tonem. - Dlaczego sądzisz, że Mattie od początku wszystko zaplanował? - dodała.

Kane przez chwilę bawił się kamykami trzymanymi w dłoni. Wzruszył ramionami.

- Wydaje mi się, że szybko odgadł, że jego walka jest przegrana.

Chorował dużo dłużej niż ja. Właściwie mógł już tylko walczyć o dodatkowe kilka dni lub tygodni życia. Nie planował dla siebie przyszłości. Myślał o drogich mu osobach. Taki właśnie był.

Rhiannon natychmiast pomyślała o sytuacji, w jakiej kiedyś znalazł się Kane. Czy też myślał o losie ludzi, którzy zostaną sami po jego śmierci? Przecież był młody i pełen życia, mimo strasznej choroby. Z kim mógł rozmawiać na takie tematy? Jak ona zachowałaby się, na wieść o jego śmierci?

Tymczasem Kane zerknął na nią kątem oka.

- Potrafisz tak rzucać, żeby kamyki odbijały się od wody? - spytał.

- Słucham? - Przecząco pokręciła głową.

Kane pochylił się i zebrał sporą garść kamieni.

- Powinny być w miarę okrągłe, a przede wszystkim płaskie. W przeciwnym razie nie będę się odbijać.

- Jesteś kompletnie zwariowany - stwierdziła. - Do czego to doszło? Kane Healey, facet wielki i ponury, który rzadko się odzywa, nagle z zapalem puszcza kaczkę...

Roześmiał się i chwycił ją za łokieć. Zmusił ją, by wyciągnęła dłoń z kieszeni.

- Daj rękę - poprosił.

- Już sam sobie wzięłaś - zauważyła.

- Nie bądź babą jagą.

Spojrzała na niego, unosząc brwi.

- Dobrze, możesz być babą jagą, ale trochę łagodniejszą - zaproponował, wkładając jej w dłoń płaski kamień.

Stał tuż za nią, trzymając jej rękę i układając odpowiednio palce.

- Wskazującym i kciukiem obejmujesz krawędź kamienia. Cofasz nadgarstek. Rzucasz całą siłą ręki, ale ruch nadgarstka jest najważniejszy. Jeśli kamień polecą płasko nad wodą, odbije się co najmniej kilka razy.

Spojrzała mu w oczy. Najchętniej pozbyłaby się wszelkich kamieni i poważnie zajęła pocałunkami.

- Dobrze, ale nie miej złudzeń co do moich umiejętności. Co prawda rzucanie kamieniami jest na pewno doskonałą rozrywką w sferach ziemskich, ale jeszcze nie miałam okazji tym się zajmować - wyznała szczerze.

Kane roześmiał się, ale nie poddawał.

- Spróbujemy kilka razy - powiedział, spoglądając na szarą powierzchnię jeziora. - Kiedy wyjadę, będziesz mogła tu przychodzić, żeby porzucać razem z Lizzie.



Rhiannon odwróciła głowę. Ogarnęły ją ponure myśli, choć oczywiście zdawała sobie sprawę, że Kane je opuści. Jednak teraz są przynajmniej zaprzyjaźnieni. Nie będzie problemów z umówieniem się na odwiedziny Lizzie u niego, ani na przyjazd Kane'a do Brookfield. Znow nauczyl się rozmawiać życzliwie i bez złośliwości.

Tymczasem Kane nadal obejmował palce jej dłoni.

- Przenieś ciężar ciała na jedną nogę, teraz bierzesz zamach i przenosisz ciężar na stopę przed tobą. Wypuszczasz kamień z palców - zakończył i cofnął się o krok.

Kamień wyleciał z jej dłoni krótkim łukiem i wpadł do wody niemal pionowo. Rhiannon wydeła policzki.

- Mówiłam ci.

Kane roześmiał się i podał jej garść kamyków.

- Musisz trochę potrenować - zachęcał. - W pewnym momencie zrozumiesz, o co chodzi.

Zebrał kolejne kamienie i stanął obok niej, obserwując kolejne próby.

- Jak już mówiłem, Mattie, sprzedając mi ziemię, wiedział, że zostaniesz właścicielką domu. - Kane wrócił do głównego tematu. - W ten sposób postanowił zmusić nas do konkretnej rozmowy i współpracy.

Rhiannon zatrzymała się w miejscu.

- Słucham? - spytała zaskoczona.

- Tak - ciągnął Kane, rzucając zręcznie kamykami. - Dom i ziemia stanowią niepodzielną całość. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Teraz zaczynam nawet wątpić, czy rzeczywiście miał kłopoty finansowe, jak wtedy twierdził. Po prostu dokonał tej manipulacji, żebyśmy musieli wspólnie rozwiązać problem.

Rhiannon słuchała go uważnie. W pierwszej chwili nie mogła uwierzyć w jego słowa. Jednak po zastanowieniu doszła do wniosku, że wydarzenia układają się w logiczną całość.

- Wiedział, że oboje jesteśmy strasznie uparci - tłumaczył Kane, nie przestając rzucać. - Jednocześnie zorientował się, że wyciągnęliśmy zupełnie niesłuszne wnioski z naszej wspólnej przeszłości...

- I zdecydował się wkroczyć w nasze życie, żeby wszystko naprawić?

Kane stał przez chwilę zamyślony.

- Oczywiście. Domyśliłem się tego niedawno, a powinienem wcześniej.

Mówił dużo o domu i posiadłości, wspólnej pracy, partnerstwie, własnym miejscu na ziemi. Słuchałem go, ale chyba niezbyt uważnie. Szczerze mówiąc, nie do końca pojmowałem, do czego zmierzał, więc puszczałem jego słowa mimo uszu. Dopiero teraz wszystko stało się jasne.

Rhiannon zawsze lubiła jego głos, więc i tym razem słuchała go z przyjemnością. Podświadomie wracała myślami do wspólnie spędzonych chwil. Nie zauważyła, że przyglądał się jej uważnie. W końcu uniosła głowę i zauważyła jego wzrok.

- Traktujesz ten dom jako zabezpieczenie przyszłości Lizzie, prawda? - Skinęła głową. - Podobnie ja traktuję moją część posiadłości. Chcę, żeby w przyszłości należała do Lizzie.

- Nie musisz... - zaczęła.

- Zależy mi na tym - oświadczył. - Kocham ją i teraz cały mój świat obraca się wokół niej - dodał cicho.

Pomyślała, że właśnie tak się czuła, gdy po raz pierwszy trzymała Lizzie na rękach.

- Rozumiem - powiedziała szybko, czując narastające wzruszenie.

- Myślę więc przede wszystkim o jej przyszłości. We wszystkich innych sprawach dogadamy się. Wydaje mi się, że już osiągnęliśmy pewien postęp.

- To prawda - przyznała przyciszonym głosem. Czują łzy napływające do oczu. Zbierały się pod powiekami od chwili, gdy Kane przyznał, jak ważna jest dla niego Lizzie. - Chciałabym dzisiaj jej powiedzieć, że jesteś jej ojcem. Nie widzę powodu, żeby to odkładać. Co ty na to?

Kane skinął głową i podszedł do niej bliżej.

- Już najwyższy czas - stwierdził. - Może po kolacji? Będzie mogła wypytywać nas do woli, o co będzie chciała, a my wspólnie jakoś poradzimy sobie z odpowiedziami.

Rhiannon skinęła głową.

- Wiesz już, jak się do tego zabierzesz? - spytał po chwili.

Rhiannon roześmiała się nerwowo i dyskretnie starła z policzka samotną łzę.

- Nie mam pojęcia. Ale kiedy już usiądziemy razem, powinno być łatwiej. Trudno przyznać się do błędów przed własnym dzieckiem, zwłaszcza kiedy uważa cię za człowieka bez skazy.

Kane wyciągnął dłoń, delikatnie dotknął jej policzka i spojrzał jej w oczy.

- Dotychczas zrobiłaś dla niej wszystko, co mogłaś, i poszło ci to doskonale. Cokolwiek jej powiesz, będzie dobrze - zapewnił z przekonaniem.

Rhiannon pomyślała, że gdyby mogła cofnąć czas, nigdy nie rozdzieliłaby Lizzie z ojcem. Dlaczego miałyby to robić? Kane jest wspaniałym człowiekiem. Każde dziecko nie posiadałoby się ze szczęścia, mając takiego ojca. Czy Kane kiedykolwiek jej to wybaczy? Tymczasem on zmarszczył czoło, jakby znów odgadł jej myśli. Objął jej twarz obiema dłońmi i spojrzał na nią z czułością. Westchnęła, przymykając oczy.

- Mamo?

Kane pospiesznie cofnął się o krok. Lizzie patrzyła na nich z zaciekawieniem.

- Co robicie? - spytała z przekornym uśmiechem.

- Uczę twoją mamę puszczać kaczki po wodzie. Właśnie przeżywała kryzys wiary we własne siły - wyjaśnił Kane. - A ty chciałabyś się nauczyć?

- Jasne, że tak!

Podniósł z ziemi kilka płaskich kamyczków i podał je córeczce.

Jednocześnie zerknął na Rhiannon.

Odpowiedziała mu ciepłym spojrzeniem. Chwilę później obserwowała pierwszą próbę Lizzie. Dziewczynka odchyliła się, wzięła zamach i rzuciła kamieniem tuż nad wodą.

Poleciał daleko, wielokrotnie odbijając się od powierzchni jeziora. Za pierwszym razem!

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

Gdy wrócili do domu, ich plany zmieniła niespodziewana wizyta.

Rhiannon nigdy przedtem nie widziała tej kobiety. Uśmiechając się życzliwie, przeprosiła, że wpadła bez zapowiedzi. Wyjaśniła, że każdego roku przed Bożym Narodzeniem organizuje bal, który zwykle odbywał się w Brookfield. Chwilę później przy filiżance herbaty mówiła o przesunięciu terminu balu ze względu na pamięć Mattiego. Potem oznajmiła, że dobrze byłoby ustalić nowy termin uroczystości w Brookfield. Oczywiście, jeśli Rhiannon nie ma nic przeciwko temu.

Minęła godzina i Rhiannon zgodziła się na wszystko. Zgodnie ze stuletnią tradycją bal powinien odbyć się w dniu świętego Walentego. Kane zaoferował pokrycie kosztów, natomiast Lizzie podskakiwała z radości na myśl o wielkim przyjęciu i związanym z tym zakupem nowej sukienki. Dopiero gdy przemiała pani wsiadła przed domem do samochodu, Rhiannon poczuła, że zostali wykorzystani.

- Kochanie, bardzo dziękuję. Komitet organizacyjny będzie uszczęśliwiony - przemawiała tamta, promieniejąc z radości. Nie żałowała uśmiechów Rhiannon, spojrzała z wdzięcznością na Kane'a i pogłaskała Lizzie po główce. - Jesteś przemiała. Już nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć cię w nowej pięknej sukience - zaszczębiotała do dziewczynki.

- Ja też - przyznała Lizzie z przejęciem.

- Na dodatek jest śliczna - mówiła kobieta, spoglądając na Kane'a. - Jesteś bardzo podobna do taty. Wiesz o tym?

Rhiannon jęknęła w duchu. Takiego obrotu sprawy nie przewidziała. Niemożliwe, żeby ta kobieta to powiedziała, powtarzała w myślach jak zaklęcie.

Tymczasem Lizzie powoli odwróciła głowę w stronę Kane'a i przyglądała mu się uważnie. On i Rhiannon milczeli jak zaklęci, nie wiedząc, jak się zachować.

- Tak, kropka w kropkę - ciągnęła kobieta słodkim głosem. - Ma pana oczy i kolor włosów. Nikt nie może zaprzeczyć.

Kane poczuł, że zasycha mu w gardle. Spojrzał na Rhiannon, jakby spodziewał się pomocy. Lizzie miała skupioną minę i wyraźnie nad czymś się zastanawiała.

- Jeszcze się skontaktujemy - zapowiedziała przemiała pani, otwierając drzwi samochodu. - Miło było was poznać. Na razie!

Lizzie stała z głową przechyloną na bok. Marszczyła czoło i przyglądała się twarzy Kane'a.

- Wejdzmy do domu - odezwał się.

Rhiannon natychmiast wyrwała się z odrętwienia. Podeszła do Lizzie i przeczesła jej dłonią włosy.

- Słusznie. Chodź, kochanie. Usiądziemy sobie w salonie i pogadamy.

Lizzie przeszła w milczeniu obok Kane'a, obserwując go z uwagą. Tymczasem jej matka chwyciła go za rękę, splotła palce dłoni i ścisnęła.

Kane spojrział na nią ze zrozumieniem.

- Przepraszam - szepnęła. - To nie powinno odbyć się w ten sposób. Uścisnął jej dłoń.

- Przecież to nie twoja wina. Razem z nią porozmawiamy, dobrze?

Rhiannon skinęła głową.

Gdy weszli do salonu, Kane podszedł do Lizzie i położył jej dłoń na ramieniu. Chciał, by usiadła obok niego na kanapie. Jednak ona zaczekała, aż on usiądzie, a potem stanęła przed nim i objęła jego twarz swoimi małymi rączkami.

- Masz niebieskie oczy, tak jak ja - stwierdziła.

Rhiannon zacisnęła zęby. Łzy napłynęły jej do oczu.

- To prawda - potwierdził Kane ochryplym głosem.

Lizzie chwyciła palcami kosmyk jego włosów i przyjrzała mu się uważnie. Potem obejrzała kosmyk swoich włosów.

- Kasztanowe, jak moje - powiedziała.

- Tak - potwierdził znów.

Rhiannon podeszła bliżej. Pogłaskała Lizzie po głowie, starając się opanować wzruszenie.

- Masz takie oczy i włosy jak Kane, bo on naprawdę jest twoim tatą - rzekła łamiącym się głosem.

Lizzie otworzyła szeroko oczy.

- Naprawdę? - zawołała, a Kane skinął głową.

- Naprawdę.

Na krótką chwilę zapadła cisza. Potem Lizzie uśmiechnęła się tak radośnie, jakby spełniły się wszystkie jej dziecięce marzenia.

- Cieszę się - oświadczyła.

- Ja też - powiedział.

- Gdzie dotąd byłeś? - zapytała.

Rhiannon miała uczucie, że pęka jej serce. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale nie znalazła odpowiednich słów.

- Czekałem na ciebie.

Lizzie wyciągnęła ręce i mocno objęła go za szyję. Kane przymknął oczy, objął ją w pasie i wstając, uniósł nad ziemię. Rhiannon patrzyła na jego zmienioną wzruszeniem twarz. Ciężkie łzy spływały jej po policzkach. Zasłoniła usta dłonią, by powstrzymać głośny szloch. Dlaczego nie pozwoliła im być razem? Zdawała sobie sprawę, że zawsze będzie tego żałowała.

Zastanawiała się, czy kiedykolwiek naprawdę poznała Kane'a. Był inny niż dawniej, a jednocześnie pod wieloma względami wcale się nie zmienił. Kiedyś ją pociągał, lecz teraz było to o wiele głębsze uczucie. Widok Lizzie na rękach ojca wywołał w niej wzruszenie, nad którym nie potrafiła zapanować.

Dziewczynka przytuliła się do ojca i zamknęła oczy. Rhiannon wstała, by wyjść z pokoju. Jeszcze raz spojrzała na Kane'a. Uśmiechnął się do niej z czułością. Poczowała, że świat pod jej stopami zawirował, jednak zdobyła się na skinienie głową i kojący uśmiech.

- Dziękuję - szepnęła.

Była wdzięczna za to, że okazał się człowiekiem, na którego Lizzie sobie zasłużyła.

Odwróciła się i pospiesznie wyszła z pokoju. Nie chciała, by z jej spojrzenia Kane odczytał wszystko, co w tej chwili czuła. Łzy płynęły jej po policzkach strumieniami. Po raz pierwszy w życiu jej córki działo się coś, w czym nie mogła i nie potrafiła uczestniczyć. Kane i Lizzie są sobie naprawdę potrzebni. Rhiannon starała się nie być o to zazdrosna. Jednocześnie bardzo cierpiała. Przecież nie są prawdziwą rodziną! Gdyby nie to, czułaby się szczęśliwa.

Kane i Lizzie zastali Rhiannon w kuchni. Przedtem długo siedzieli w salonie. Dziewczynka oświadczyła, że fajnie mieć własnego tatę, a potem zarzuciła go mnóstwem pytań, przede wszystkim o jego rodzinę.



Kane cieszył się z każdej sekundy tej rozmowy i wiedział, że nie zapomni jej do końca życia. Jednak brakowało mu obecności Rhiannon. Oczywiście doceniał fakt, że pozwoliła mu zostać z córką sam na sam. Na pewno było to dla niej trudne przeżycie i tym bardziej chciał, by była teraz z nimi. W pewnej chwili oparł czoło o głowę córki.

- Chodź, zobaczymy, gdzie teraz jest mama - zaproponował.

Ruszyli do kuchni. Lizzie nie puszczała jego ręki.

- Mam dziadków i wujka, i ciocię, i kuzynów, i wszystkich! - zawołała z przejęciem, stając w progu.

Rhiannon uśmiechnęła się do niej z drugiego końca pomieszczenia.

- Nie spodziewałaś się tego, prawda?

Kane nagle zdał sobie sprawę, że Lizzie jest tym odkryciem znacznie bardziej przejęta, niżby podejrzewał. Czyżby Rhiannon nie miała braci ani sióstr? Niejasno przypominał sobie coś na temat jej brata. A co do dziadków...

- Przecież masz już dziadków, prawda? - spytał, wchodząc do kuchni.

Usiadł na długiej ławie przy stole.

Lizzie zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie. Mama i tata Stephena byli dla mnie przez chwilę jak dziadkowie, ale tak naprawdę oni nie byli moją rodziną. A rodzice mamy w ogóle mnie nie znają.

Kane zmarszczył czoło. Pytająco spojrzął na Rhiannon. Dlaczego? Czy coś się z nimi stało? Mattie nic mu na ten temat nie napomknął. Co prawda nigdy nie był zainteresowany informacjami dotyczącymi Rhiannon. Nie szukał z nią kontaktu i był przekonany, że dawno zapomniała o ich krótkim związku. Być może zbyt pochopnie przyjął to założenie, ale przynajmniej nie musiał się zastanawiać nad przyszłością. Zresztą zajmowały go wtedy zupełnie inne sprawy.

Lizzie jak zwykle stanowiła źródło informacji, których wydobyć od jej matki zajęłoby mu tygodnie.

- Oni uważali, że mama nie powinna mieć dziecka, bo była jeszcze za młoda i w ogóle... Ale mama chciała mnie bardziej niż wszystkiego na świecie, więc uciekła z domu i mnie urodziła, i zostaliśmy rodziną.

Rhiannon zrobiła nieszczęśliwą minę, a Kane zaklął w duchu. Teraz zrozumiał, co miała na myśli. Mówiła kiedyś, że wie, co znaczy odrzucenie przez własnego ojca. Oni po prostu odwrócili się od niej. Od własnej córki! Nic dziwnego, że znienawidziła go, gdy zniknął. Ojciec dziecka nagle ją porzucił, rodzice nie chcieli jej znać, a na dodatek nie miała pracy ani żadnych źródeł utrzymania. Nie sądził, że znalazła się w aż tak trudnej sytuacji. Poczł narastającą złość.

Rhiannon zauważyła jego minę.

- I całkiem dobrze dawałyśmy sobie radę, prawda, kochanie?

Lizzie skinęła głową.

- Ale teraz, z Kane'em, jest o wiele lepiej.

Kane uśmiechnął się do niej i spojrzał na Rhiannon, która opuściła wzrok

- Tak, teraz jest lepiej.

Rozumiał, co miała na myśli. Dla Lizzie jest to lepsze rozwiązanie.

Jednak w głębi duszy miał nadzieję, że Rhiannon mówiła również o sobie.

Bardzo chciał, by uważała, że jego obecność potrzebna jest nie tylko Lizzie.

Przecież tak powinno być, prawda?

Starał się poukładać strzępy informacji.

- Gdzie mieszkaliście?

- Koleżanka, która pracowała ze mną w kafejce, wynajęła mi pokój w swoim mieszkaniu. Dopóki byłam w ciąży, pracowałam na cały etat. Później, kiedy Lizzie trochę podrosła, już tylko na pół etatu.

- Ciocia Kerri - wtrąciła dziewczynka.

- Zgadza się - potwierdziła Rhiannon i wzruszyła ramionami. - Gdy Kerri pracowała nocami, ja zajmowałam się także jej dziećmi. Kiedy szłam do pracy, ona miała Lizzie na oku. To był dobry układ dla nas obu, od tego czasu jesteśmy przyjaciółkami.

Kane miał coraz bardziej posępną minę. Rhiannon poświęciła się, żeby jego dziecko przyszło na świat. Chciała tego dziecka i wychowała je na bystre i szczęśliwe. Spore osiągnięcie w jej sytuacji. W tym czasie ojciec dziecka, który mógł im wiele zapewnić, rozpląnął się gdzieś w powietrzu. Przecież zrobiłby dla nich wszystko nawet wtedy, gdy był chory i nawet gdyby nie wyzdrowiał. Czy naprawdę Rhiannon tego nie wiedziała?

- Jakoś dawałyśmy sobie radę - rzekła Rhiannon.

- Co z tym kursem, na który chodziłaś wieczorami? - zapytał.

Spojrzała na niego zaskoczona. Nie byli w sobie bez pamięci zakochani, ale najwyraźniej zachował w pamięci wszystkie szczegóły z tamtego okresu. Kolejny raz wzruszyła ramionami, co już zaczynało wyprowadzać Kane'a z równowagi.

- Chodziłam, dopóki mogłam. Po porodzie przestałam, żeby opiekować się dzieckiem. Praca, dziecko i nauka to naprawdę marna kombinacja - stwierdziła. - Z czegoś musiałam zrezygnować.

- Ale mama skończyła kurs, kiedy byłam starsza i zaczęłam chodzić do szkoły - Lizzie pochwaliła się osiągnięciami mamy.

Rhiannon skinęła głową.

- Dzięki temu dostałam lepszą pracę. Zostałam osobistą asystentką i zaczęłam lepiej zarabiać niż w kafejce. Nie było nam źle.

Nieźle, pomyślał z sarkazmem. Chyba raczej mniej tragicznie, dodał w myślach. Gdy tylko zjawił się w Brookfield, usłyszał od niej, że mając dziecko,

musiała szybciej dorosnąć. Wtedy kompletnie jej nie rozumiał. Ciekawe, co jeszcze chciała mu zakomunikować? Na pewno próbowała wyjaśnić, że nie ukrywała przed nim dziecka. Oczywiście, on bezsensownie założył, że kierowała się zemstą, podczas gdy ona ciężko walczyła o przetrwanie. Nie pomógł jej też nikt z rodziny...

- Chyba nie musiałaś pracować, kiedy wyszłaś za Stephena? - zapytał. Wymawiając imię tamtego, nieświadomie zacisnął ze złości zęby.

Już dawno nie mógł znieść, że doszło do tego związku. Teraz jeszcze bardziej wyprowadzało go to z równowagi. Stephen spędzał czas z jego dzieckiem, a na dodatek miał Rhiannon! Gd czasów szkolnych zachowywał się tak, jakby chciał przejąć wszystko, co należało do Kane'a. Dlatego tak łatwo było uwierzyć, że Rhiannon natychmiast znalazła pocieszenie w jego ramionach. Stephen niewątpliwie traktował ten związek jak wielkie zwycięstwo. Kręcił się koło kafejki, gdzie pracowała Rhiannon. Kane widział, co się święci, i raz czy dwa postanowił poważnie go ostrzec. Później, gdy sam zniknął z życia Rhiannon, uznał, że Stephen w końcu stał się mężczyzną i wziął na siebie rodzinne obowiązki.

Czyżby była to tylko wygodna wymówka? Kane zastanawiał się nad motywami swojego postępowania. Ostatnio wielokrotnie powracał myślami do przeszłości i popełnionych błędów.

- Nie, nadal pracowałam - odparła Rhiannon. - Stephen nie był tym specjalnie zachwycony. Cóż, w końcu ten związek okazał się pomyłką i nie trwał zbyt długo. Przez większość czasu i tak mieszkaliśmy osobno. Rozwód był dla mnie wielką ulgą. Po załatwieniu formalności wynajęłam jeszcze od Stephena dom w Dublinie.

Kane zacisnął dłonie w pięści.

- On chciał mnie oddać do szkoły z internatem - poskarżyła się Lizzie, wywracając oczami.

- Nie dopuściłam do tego, prawda, kochanie? - rzekła Rhiannon. - Nawet nie warto wspominać - dodała po chwili, czując na sobie spojrzenie Kane'a. Zamrugła powiekami i odwróciła wzrok. Podeszła do Lizzie i pocałowała ją w czubek głowy. - Myślę, że już dość rewelacji, jak na jeden wieczór. Dziś na kolację będzie kurczak. Właśnie się piecze.

- Super!

- Teraz wezmę kąpiel. Zaryzykuję i zostawię kuchnię pod waszą opieką. Niczego nie spalicie?

Przelotnie spojrzała na Kane'a. Unikała jego wzroku, jakby nadal chciała coś przed nim ukryć.

Dlaczego? O co może chodzić? - zastanawiał się. Jeśli Rhiannon uważa, że nic ich już nie powinno łączyć, to właśnie ma kolejny problem do rozwiązania. Kane również stał się członkiem rodziny. Obudził się w nim instynkt opiekuńczy. Wobec Lizzie było to oczywiste, jednak wobec Rhiannon? Sam był tym zaskoczony. Kiedy to się stało? - pomyślał.

Początkowo czuł do niej urazę za pozbawienie go kontaktu z dzieckiem, a jednocześnie bardzo pociągała go fizycznie. Potem, gdy zaczął rozumieć przyczyny jej postępowania, stała mu się bliższa. Postanowienie, by nie angażować się kolejny raz, wyraźnie osłabło.

Najbardziej wstrząsnęła nim chwila, gdy Lizzie dowiedziała się, kim on naprawdę jest, i zobaczył Rhiannon zalaną łzami.

- Jeszcze nigdy nie przypaliliśmy kolacji - oświadczyła Lizzie z oburzeniem.

- Mam nadzieję, że dziś nie zdarzy się ten pierwszy raz - mruknęła Rhiannon i wyszła z kuchni.

Kane doszedł do wniosku, że Rhiannon odgadła, co przeżywał.

- Zaraz wrócę - rzekł do Lizzie. - Teraz ty jesteś odpowiedzialna za kolację - dodał, puszczając do niej oko i wybiegając na korytarz.

Rhiannon wchodziła na górę zamyślona i ze spuszczoną głową, jakby dźwigała na barkach niewidzialny ciężar. Wbiegł na schody, przeskakując po kilka stopni.

- Zaczekaj chwilę! - zawołał.

Rhiannon wyprostowała się i powoli odwróciła. Patrzyła na niego badawczo i w napięciu. Nie znosił tego spojrzenia. Wydawało mu się, że ten etap mają już za sobą.

- Zdaje się, że miałeś pilnować kolacji - zauważyła.

- Nie miałem pojęcia, że rodzice się ciebie pozbyli...

- Skąd miałbyś wiedzieć? Przecież gdzieś przepadłeś.

- Słusznie. Przyznaję, że powinienem być z tobą.

Zmarszczyła czoło i rozejrzała się wokół, jakby szukała drogi ucieczki.

- Ostatecznie wszystko dobrze się skończyło - stwierdziła obojętnym tonem.

Kane podszedł bliżej.

- Czyli kolejny raz jakimś cudem udało ci się przeżyć - podsumował.

- Nie robię problemu, gdy nie trzeba. Udało się, i to jest najważniejsze.

Teraz też na pewno jakoś przetrwamy, prawda? - Kane chciał coś wtrącić, ale mu nie pozwoliła. - Chciałabym ci podziękować za sposób, w jaki postępujesz z Lizzie. Bardzo żałuję, że nie byliście razem od samego początku. Nie musisz wymyślać dla mnie za to żadnej kary. Mam okropne wyrzuty sumienia, które będą prześladować mnie do końca życia.

Kane objął jej dłoń.

- Za nic nie chcę cię karać - zapewnił, gładząc jej palce. - Sama też nie powinnaś tego robić. Już zdążyłem zrozumieć, dlaczego mnie nienawidziłaś. Teraz możemy wspólnie wyciągnąć wnioski z błędów popełnionych w przeszłości. Najważniejsze...

- Że wszystko dobrze się skończyło? - dokończyła za niego, opuszczając wzrok.

Kane uśmiechnął się lekko. Nie wiedział, co powiedzieć. Był tym zaskoczony, bo rzadko zapominał języka w gębie. Rhiannon uśmiechnęła się.

- Powinieneś wiedzieć, że bardzo się cieszę. Wreszcie pozbyliśmy się złych wspomnień. Właściwie wszystko zostało wyjaśnione.

Zmrużył oczy i zamyślił się. To, co powiedziała, zabrzmiało, jakby jednocześnie zamknęli przed sobą przyszłość, a przecież...

Do diabła. Sam nie wiem, czego chcę, pomyślał. Na dodatek Rhiannon wyciągnęła rękę i przyjaźnie poklepała go po ramieniu. Czy ja jestem jej ulubionym kundlem, żeby mnie poklepywać? - pomyślał natychmiast.

- Cieszę się, że znów możemy być przyjaciółmi - odezwała się, a Kane wzruszył ramionami.

- Kiedy właściwie byliśmy przyjaciółmi? - spytał z sarkazmem.

Rhiannon zamrugała powiekami.

- Cóż, najważniejsze, żebyśmy teraz potrafili się zaprzyjaźnić ze względu na Lizzie.

Ze względu na Lizzie, powtórzył w myślach. Zbyt często oboje powtarzają te słowa.

- Tak, ale... - zaczął.

Rhiannon znów uśmiechnęła się radośnie.

- Wreszcie potrafimy się porozumieć. To nam pomoże w przyszłości, gdy jako rodzice będziemy musieli podejmować ważne decyzje.

Kane wydał usta i włożył dłonie do kieszeni, by nie kusić losu. Miał wielką ochotę potrząsnąć Rhiannon. Coś wreszcie powinno do niej dotrzeć. Oczywiście, mówi całkiem sensownie, ale...

- Wiem, że wkrótce musisz wrócić do normalnego życia. Wszystko sobie wyjaśniliśmy, więc może jutro omówimy szczegóły odwiedzin. Zastanów się, kiedy Lizzie ma przyjeżdżać do ciebie, a kiedy sam zamierzasz ją odwiedzać. Dzięki temu będziemy wiedzieć, na czym stoimy i jak zaplanować czas.

Ona znów ma rację i trudno byłoby się z nią nie zgodzić. Właściwie sam tak to sobie wyobrażał jakiś czas temu. Dlaczego więc nagle poczuł się odrzucony? Może już zdążył przyzwyczać się do Brookfield? Ostatnio ich życie w tym domu toczyło się zgodnym rytmem.

Zajmowali się swoimi obowiązkami, na zmianę zawozili Lizzie do szkoły, a przez część dnia pracowali w innych częściach domu. Cóż, większość małżeństw spędza część dnia osobno, pomyślał. Nagle zdał sobie sprawę, że nawet w myślach traktuje ich jak rodzinę.

To zastanowiło go jeszcze bardziej. Właściwie nigdy nie byli po prostu przyjaciółmi. Nie byli w stałym związku, a kochankami przestali być przed laty. Kim więc są naprawdę? Na pewno rodzicami Lizzie, ale przecież nie parą obcych sobie ludzi, którzy chcą niezależnie od siebie wpływać na jej przyszłość.

Ostatecznie mogłoby się to skończyć tak, że stworzyliby dwie oddzielne rodziny, a Lizzie znalazłaby się pośrodku. Dawniej, kiedy jeszcze poważnie myślał o małżeństwie i własnych dzieciach, nie mógłby wyobrazić sobie gorszego rozwiązania. Z kolei rodzina to nie tylko wspólne wychowywanie dzieci.

Zastanawiał się, jakie rozwiązanie byłoby najlepsze, gdy znów usłyszał głos Rhiannon. Mówiła, starając się patrzeć mu w oczy.



- Nie ma powodu, żebyś czuł się winny. Przecież nie porzucasz Lizzie. Ona musi tylko wiedzieć, że wrócisz i że czekasz na kolejne spotkanie z nią. Firma też jest dla ciebie ważna. Stworzyłeś ją, poświęciłeś na to lata ciężkiej pracy. Ostatnio zrobiłeś sobie bardzo długi urlop i spędziłeś go z nami...

Kane słuchał jej jak natrętnego głosu rozsądku, choć w gruncie rzeczy wolałby w tej chwili zostać sam i spokojnie zastanowić się nad wszystkim.

- Znajdę jakieś rozwiązanie - zapewnił.

- Zdaję sobie sprawę, że wiele osób na twoim miejscu nie chciałoby się wysilać. Żyliby z obfitych procentów od kapitału zostawionego przez rodzinę. Ty jesteś zupełnie inny - mówiła z uśmiechem. - Zdajesz sobie sprawę, jaki wspaniały przykład dałeś córce?

Wzruszył ramionami. Być może powinien być dumny z tego, co osiągnął, jednak miał niejasne podejrzenie, że rozmowa zaczęła zmierzać w kierunku, który nie okaże się przyjemny.

- Nie jestem jedyny na świecie. Wielu ludzi odniosło sukces - stwierdził krótko.

- To prawda, ale może jesteś jednym z niewielu, którzy chcieli coś udowodnić, kiedy udało im się wygrać z chorobą? Znam cię na tyle dobrze, by wiedzieć, że lubisz kontrolować sytuację. Coś musi od ciebie zależeć. To dla ciebie bardzo ważne, prawda?

Skąd ona do diabła to wie? - pomyślał zaskoczony.

Rhiannon podeszła jeszcze bliżej, a on poczuł się niezręcznie. Być może domyśliła się motywów jego postępowania, ale na pewno nie domyślała się, jak działała na niego, znajdując się tak blisko.

Wsunął dłonie do kieszeni i zacisnął pięści, by nie wyciągnąć rąk, nie objąć jej i nie całować tak, by wreszcie zrozumiała, że nie są tylko

przyjaciółmi. Byłoby to jednak tożsame z przyznaniem się do tego, że on ma ochotę na coś więcej. Tylko co?

Na pewno nie namiętny romans. Nie są już tak młodzi i beztroscy jak dawniej. Ograniczają ich różne zobowiązania. Przede wszystkim mają dziecko. Poza tym łączy ich wspólny interes w postaci domu i polaci gruntu.

Niespodziewanie Rhiannon delikatnie oparła dłoń na jego piersi. Niemal jęknął. Ona naprawdę igra z ogniem, nie zdając sobie z tego sprawy.

- Pamiętaj, że niczego nie musisz udowadniać Lizzie. Ona i tak cię kocha. Już okazałeś się wspaniałym ojcem, nie musisz więc poświęcać się wyłącznie pracy. Wymyślałeś świetne gry dla tysięcy dzieci i byłeś przekonany, że sam nigdy nie zostaniesz ojcem. A tymczasem masz córkę, a w przyszłości...

Dość tego! - pomyślał, czując narastającą złość. Wyciągnął rękę z kieszeni. Chwycił dłoń Rhiannon i odsunął ją od siebie.

- Daruj sobie takie podnoszące na duchu przemówienia - warknął. - Masz rację, że praca na mnie czeka. Byłem tu dłużej, niż zamierzałem. Jednak musiałem to zrobić ze względu na Lizzie. - Zacisnął zęby i pochylił głowę. - Natomiast nie życzę sobie, żebyś mi współczuła - dodał.

Rhiannon wytrzeszczyła oczy i nagle roześmiała się głośno.

- Chwilami pleciesz bez sensu - stwierdziła. - Dlaczego miałabym ci współczuć?

Teraz on spojrzał na nią zaskoczony. Dotychczas naiwnie wydawało mu się, że potrafił odgadnąć myśli Rhiannon. Właśnie okazało się, że w rzeczywistości nie miał o tym pojęcia!

- Ironia sytuacji polega na tym, że podziwiam cię i szanuję jako człowieka, którego nie załamała choroba i który stworzył od podstaw poważną firmę. W ciągu zaledwie jednego miesiąca pokazałeś, że oprócz tego potrafisz być wspaniałym ojcem. Wszystkie moje uprzedzenia i opinie na twój temat

szybko legły w gruzach - oznajmiła łagodnym tonem. - Nie współczuję ci, Kane. Nie mam najmniejszego powodu.

Spojrzała mu w oczy, a on znów stał bezradnie, nie potrafiąc znaleźć odpowiednich słów.

- Chciałam tylko powiedzieć, że nie musisz nikomu niczego udowadniać. Nie powinieneś też uciekać przed rzeczywistością i ograniczać swojego życia wyłącznie do pracy. Masz rodzinę, choć pewnie wmówiłeś sobie, że jesteś sam - dodała. - Lizzie to naprawdę twoja rodzina.

Kane nerwowo przeczesał włosy, a potem potarł dłońmi czoło, jakby mogło to pomóc w logicznym myśleniu. Patrzył na Rhiannon, gdy ruszyła na górę. Zastanawiał się nad tym, co właśnie usłyszał. Wreszcie udało mu się odzyskać głos.

- Czasem wydaje mi się, że mnie nie znasz - odezwał się. - Potem nagle przychodzi taka chwila, gdy okazuje się, że znasz mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Naprawdę nie wiem, co o tym myśleć.

- Jeśli odpowiesz sobie na to pytanie, będziemy mogli szczerze porozmawiać. Przecież właśnie na tym polega przyjaźń.

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

Gdyby przed miesiącem ktoś powiedział Rhiannon, że będzie tęsknić za Kane'em, roześmiałyby się w głos. Na szczęście była teraz bardzo zajęta przygotowaniami do walentynkowego balu.

Czasem miała okazję usłyszeć głos Kane'a, gdy dzwonił, by porozmawiać z Lizzie. Przy okazji pytał wtedy Rhiannon, jak radzi sobie z prowadzeniem domu i posiadłości, którą zostawiał pod jej opieką na czas wyjazdu. Mogła więc uzgadniać z nim bieżące sprawy i wszystko wydawało się w porządku.

Ale sytuacja, gdy wszystko jest w porządku, już przestała jej wystarczać. Właściwie nie zapowiadało się, by wystarczyła jej również w przyszłości. Miała okazję przez krótki czas spróbować wspólnego życia z Kane'em pod jednym dachem. Z zewnątrz sprawiali wtedy wrażenie szczęśliwej rodziny.

Rhiannon miała teraz uczucie dojmującej pustki. A pamiętała, że może być inaczej.

Tęskniła za obecnością Kane'a, jego głosem, śmiechem, spojrzeniem błękitnych oczu. Miał silną osobowość, która wpływała na otoczenie. Nie brakowało mu odwagi, zdecydowania oraz troski i serdeczności, jakie okazywał Lizzie.

Kiedyś wyobrażała sobie, że Kane właśnie taki jest. Wtedy zniknął z jej życia, a teraz pojawił się na chwilę i wyjechał, znów doprowadzając ją do rozpacz. Przed laty nie była w nim zakochana, ale teraz...

Wieczorem w dniu balu czuła się wyjątkowo samotna. Należała do bardzo nielicznych osób wybierających się na bal bez partnera, ale nie to było główną przyczyną jej przygnębienia.

Rozglądając się wokół, widziała rozmawiających ludzi, słyszała śmiechy, dźwięki muzyki, a wszystko to na tle nastrojowych świateł, wśród zapachu świeżych kwiatów. Dom Mattiego znów tętnił życiem, ale ona nie potrafiła się z tego cieszyć, bo nie było w nim Kane'a. Tylko z nim potrafiłaby dzielić się radością.

Nie miała jeszcze trzydziestu lat, a zanosi się na to, że resztę życia spędzi w samotności. Właściwie nadal ma szansę poznać kogoś. Powtarzała to sobie wielokrotnie. Jednak nikt nie byłby taki jak Kane. Musi pokonać fascynację jego osobą. Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że będzie go spotykać, patrzeć, jak bawi się z Lizzie... Krótko mówiąc, czekają ją prawdziwe tortury.

Ruszyła przez hol, uśmiechając się przyjaźnie do mijanych gości. W pewnej chwili zobaczyła swoje odbicie w wysokim lustrze. Poświęciła sporo czasu i wysiłku, by wyglądać dziś wytwornie. Cóż, znalazła się na wysokim miejscu w lokalnej społeczności. Poza tym chciała wreszcie zrobić coś starannie od początku do końca. Zatrzymała się na chwilę, by wygładzić długą złotą suknię, sprawdzić, czy jakiś niesforny kosmyk nie psuje jej fryzury. Zerknęła jeszcze na makijaż. Z zaskoczeniem zauważyła w swoich oczach smutek. Czy wszyscy już zdążyli zobaczyć, jaka jestem nieszczęśliwa? - pomyślała speszona.

Do diabła! Kiedy go nienawidziłam, miałam weselszą minę. Poprawiła naszyjnik z pereł i odwróciła się, by ruszyć dalej, i niemal zderzyła się z jakimś mężczyzną. Uniosła wzrok.

Spoglądały na nią znajome błękitne oczy.

- Lizzie mówiła mi, że gdzieś tu jest jakiś bal - oznajmił Kane przyciszonym głosem.

Musiała przyznać, że wyglądał wspaniale. W smokingu i muszce prezentował się najlepiej ze wszystkich mężczyzn obecnych na balu, choć

marynarkę miał rozpiętą, a ręce trzymał niedbale w kieszeniach. Powinien zawsze tak się ubierać, pomyślała z zachwytem.

- Nie wiedziałam, że należysz do tutejszego klubu myśliwskiego - zauważyła.

- Zaprosiła mnie moja własna córka - oświadczył z dumą. - Powiedziała, że ma nową sukienkę, którą koniecznie muszę zobaczyć.

Rhiannon uśmiechnęła się.

- Pięknie w niej wygląda - zapewniła.

- Domyślam się - stwierdził, ale nie ruszył natychmiast na poszukiwanie Lizzie. Stał, patrząc na Rhiannon, która wreszcie poczuła się szczęśliwa.

- Masz może ochotę na coś do picia? - zaproponowała, wskazując w stronę barku.

Kane roześmiał się.

- Widzę, że nowa rola bardzo przypadła ci do gustu - zauważył.

- Szczerze mówiąc, nawet bardzo - przyznała z rozradowaną miną i rozejrzała się po obszernym holu. - Musisz przyznać, że Brookfield to zachwycający dom. Spójrz, wewnątrz jest jak specjalnie stworzone dla takich imprez. Dziś wygląda wyjątkowo pięknie.

Gdy przeniosła na niego wzrok, zauważyła, że przyglądał się jej z przyjemnością.

- Pięknie to za mało powiedziane - stwierdził, nie odrywając od niej oczu.

Rhiannon miała dziwne uczucie, że w tym momencie nie miał na myśli żadnego domu.

- W bufecie mogło się jeszcze uratować coś do jedzenia. Przynajmniej taką mam nadzieję. Jesteś głodny? - zapytała pośpiesznie, czując, że się czerwieni.

Ruszyła przed siebie, by wskazać mu bufet, ale zrobiła tylko jeden krok, bo Kane wyjął rękę z kieszeni i splótł palce z jej palcami.

- Zatańcz ze mną - poprosił.

Dotyk jego dłoni sprawiał jej przyjemność. Po prostu potrzebowała fizycznego kontaktu z nim. Oczywiście, zdawała sobie sprawę, że na jego widok zareagowała jak nieśmiała nastolatka, ale chciała spędzić jak najwięcej czasu w jego towarzystwie. Właściwie miało to niewiele wspólnego z faktem, że była w nim zakochana. Teraz spojrzała na niego, unosząc brwi.

- Skąd mogę wiedzieć, czy w ogóle potrafisz tańczyć? - spytała zaczepnie.

- Przekonajmy się, dobrze? - spytał uwodzicielskim tonem.

Trzymając się za ręce, przeszli do salonu. Z powodu balu wyniesiono stąd wszystkie meble. Dzięki temu pokój doskonale pełnił rolę niewielkiej sali tanecznej. Gdy znaleźli się wśród tańczących par, Kane przyciągnął ją do siebie. Rhiannon objęła go za szyję, by w tańcu dotykać jego krótko przyciętych włosów, co zawsze sprawiało jej przyjemność.

Czuła się cudownie. Kane uśmiechnął się do niej zachęcająco.

- Chyba zauważyłaś, że nie mam dwóch lewych nóg? - zapytał.

- Zrobiliśmy razem dopiero parę kroków. Jeszcze zdążymy się przekonać.

- Właściwie dlaczego nigdy nie tańczyliśmy ze sobą? - spytał.

- Poszliśmy raz na dyskotekę w stylu lat siedemdziesiątych - przypomniała mu.

Kane roześmiał się na wspomnienie tamtego wieczoru.

- Wtedy to nie był taniec, tylko gra wstępna - wyjaśnił, delikatnie głaszcząc ją po plecach.

Rhiannon poruszała biodrami w rytm muzyki i zastanawiała się, czy to, co robią teraz, nie jest dokładnie tym samym. Była w szampańskim nastroju i

usiłowała sobie wmówić, że to wyłącznie zasługa trzech kieliszków wina, które wypija dla dodania sobie odwagi. Zamierzała rzucić mu jakąś ironiczną uwagę, ale tylko spojrzała na niego spod półprzymkniętych powiek.

- Myślałeś wtedy tylko o jednym - stwierdziła, przybierając oskarżycielski ton.

- Tylko dlatego, że miałś na mnie zły wpływ.

- Nie musiałam się specjalnie wysilać, żeby namówić cię do złego - zauważyła.

Kane skinął głową, nie przestając wędrować dłonią po jej plecach.

- Biorąc pod uwagę rachunek prawdopodobieństwa, domyślam się, że właściwie za każdym razem mieliśmy szansę zostać rodzicami. Mam rację?

- Tak - potwierdziła szeptem. - Nic nigdy nie jest do końca pewne.

- Jednak czasem ryzykowaliśmy, choć zdawaliśmy sobie sprawę z takiej możliwości - mówił, pochylając się do jej ucha.

Rhiannon przymknęła oczy. Poddawała się zmysłowemu nastrojowi chwili. Jednocześnie zatopiła się we wspomnieniach. Czy już wtedy była zakochana, nie zdając sobie z tego sprawy?

- Czasem warto wierzyć, że sprawy w końcu przybiorą taki obrót, jak powinny - odezwał się Kane. - Nawet jeśli po drodze popełniliśmy straszne błędy.

Rhiannon szeroko otworzyła oczy. Co chciał przez to powiedzieć? Czyżby ponosiła ją wyobraźnia i usłyszała w jego słowach to, co chciała? Spojrzała na niego badawczo, ale on utkwiał wzrok gdzieś wysoko nad jej ramieniem.

- Właśnie zobaczyłem moją córkę - powiedział, uśmiechając się do Lizzie. - Miałaś rację. Pięknie wygląda. Powinienem teraz z nią zatańczyć.



Rhiannon skinęła głową, zastanawiając się nad jego poprzednimi słowami.

- Będzie zachwycona - zapewniła.

Kane odchylił się, by spojrzeć jej w oczy.

- Bardzo się cieszę, że w końcu udało nam się naprawdę zaprzyjaźnić - stwierdził.

Równie dobrze ja mogłabym to powiedzieć, pomyślała zaskoczona, ale zdobyła się na uśmiech i skinęła głową.

- Ja też.

Kane wypuścił ją z objęć, cofnął się o krok i pocałował ją w policzek.

- Jeśli jeszcze tego nie powiedziałem, to właśnie mówię, że wspaniale dziś wyglądasz. Co prawda zawsze byłaś piękna.

Rhiannon stała przez chwilę nieruchomo. Zamrugła szybko, by powstrzymać łzy wzruszenia. Usłyszała miłe słowa od mężczyzny, którego pokochała. On nie odwzajemniał jej uczuć, więc sprawił jej tylko dodatkowe cierpienie. Jednak zapanowała nad emocjami, przybrała minę radosnej pani domu i wmieszała się w tłum.

Powitała kolejnych gości, słuchała opowieści na temat Brookfield, Mattiego i jego rodziny. Potem zauważyła Kane'a, który prowadził Lizzie na parkiet. Odsunęła się na bok, żeby ich lepiej widzieć.

Kane skłonił się, Lizzie zachichotała w odpowiedzi, a Rhiannon uśmiechnęła się z czułością. Patrzyła na dwoje ludzi, których naprawdę kochała. Łzy znów napłynęły jej do oczu. Z trudem opanowała chęć, by się do nich natychmiast przyłączyć. Cóż, teraz tak będzie wyglądać jej życie. Może tylko stać z boku i patrzeć.

Gdyby dom nie był pełen gości, najchętniej poszłaby na górę i zamknęła się w swoim pokoju. Ostatecznie jednak zebrała się w sobie i przez resztę

wieczoru starała się być czarująca dla wszystkich gości. Nie traciła z oczu Kane'a i dyskretnie obserwowała, z kim rozmawiał. Kilka razy z daleka nawet się do niego uśmiechnęła.

W końcu zrobiło się późno i goście zaczęli opuszczać dom. Rhiannon i Kane stali obok drzwi wejściowych, żegnając gości i machając do odjeżdżających samochodów. Gdy w końcu zamknęły się drzwi za ostatnią parą, Rhiannon odwróciła się z lekkim uśmiechem.

- Pójdę sprawdzić, czy Lizzie rzeczywiście poszła do łóżka. Godzinę temu wysłałam ją na górę, ale potem nie miałam czasu sprawdzić. Natomiast sprzątanie musi poczekać do rana.

- Już sprawdziłem. Śpi jak suseł. Muszę przyznać, że przygotowałaś wspaniały bal - stwierdził Kane.

- Pomogło mi kilka osób z komitetu organizacyjnego. To prawdziwi zapaleńcy - wyjaśniła, lekko unosząc długą suknię, żeby wejść po schodach. Kane chwycił ją za łokieć, by nie straciła równowagi.

- Lizzie mówiła mi, że większość ozdób przygotowałaś sama, dobrałaś bukiety, a nawet przesuwałaś meble.

Rhiannon patrzyła pod nogi, starając się nie potknąć.

- Najważniejsze, że ostateczny efekt był nienajgorszy - stwierdziła, zatrzymując się na szczycie schodów.

Próbowała uwolnić rękę, ale Kane trzymał ją mocno.

- Kochałaś Stephena? - spytał nagle.

- Słucham? - spytała, gwałtownie unosząc głowę.

- Kochałaś go? - powtórzył.

- Dlaczego pytasz?

Zupełnie nie rozumiała, jakie mogłoby to mieć znaczenie. Nie miała też ochoty na nagłe zwierzenia, zwłaszcza że pytanie to zadał jej mężczyzna, z

którym popełniła największy błąd swego życia. Na dodatek Kane chce rozmawiać o jej kolejnym życiowym niepowodzeniu. Teraz uśmiechnął się smutno.

- Wydaje mi się, że właśnie wtedy, kiedy dowiedziałem się o twoim ślubie, zniechęciłem cię, podobnie jak ty mnie - przyznał.

Rhiannon nie spodziewała się takich zwierzeń. Czyżby był o nią zazdrosny?

- Przecież to nie miało z tobą nic wspólnego - powiedziała.

- Możliwe, ale nigdy nie dawało mi spokoju.

Wreszcie domyśliła się, o co mu chodziło. Odwróciła się.

Nie chciała, by zauważył, że znów sprawił jej przykrość.

- Byłeś przekonany, że Lizzie to dziecko Stephena, a więc musiałam rzucić się prosto w jego ramiona, kiedy tylko zamknęły się drzwi za tobą. Wyłącznie to cię denerwowało. Drażyłeś już ten temat wiele razy.

Kane odwrócił ją do siebie i objął jej nadgarstki, delikatnie gładząc je kciukami.

- To był jeden z powodów. Jednak przede wszystkim chodziło o Stephena. Za wszelką cenę chciał mieć wszystko to, co było kiedyś moje. Myślałem, że o tym wiesz.

Wszystko to, co było kiedyś moje, powtórzyła za nim w myślach. Czy uważał ją wtedy za swoją dziewczynę? Spojrzała mu w oczy, starając się znaleźć odpowiedź. Napotkała jego niepewny wzrok.

- Nasze sprawy nie miały żadnego związku z moim ślubem - stwierdziła.

- Chciałbym to wreszcie zrozumieć.

Rhiannon zawahała się. Nie była do końca przekonana, co właściwie powinna mu powiedzieć. Delikatny dotyk jego palców zupełnie ją rozpraszał.

- Teraz pewnie zastanawiasz się, czy powinnaś być ze mną szczerą - dodał Kane z uwodzicielskim uśmiechem.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że to twoje odgadywanie moich myśli wyprowadza mnie z równowagi? - spytała zaczepnym tonem.

- Kiedyś bardzo to lubiłaś - przypomniał.

- Bo sytuacja była inna.

- Nie martw się. Wrócimy do tego tematu.

Rhiannon westchnęła z rezygnacją. Miała już dość tej rozmowy i dręczących pytań. Właściwie do czego Kane zmierza?

- Kochałaś go? - spytał Kane po chwili.

Najwyraźniej nie zamierzał ustąpić.

- Nie! - odrzekła podniesionym głosem. - Jesteś zadowolony?

Wzruszył ramionami.

- Niezupełnie. Jeśli go nie kochałaś, to dlaczego za niego wyszłaś?

Zdawała sobie sprawę, że jeśli ta rozmowa potrwa dłużej, to ona wybuchnie płaczem. Próbowwała uwolnić rękę, ale Kane nie puszczał jej, czekając na odpowiedź. W porządku, niech wie, jeśli tak mu zależy, pomyślała.

- Jeżeli koniecznie musisz wiedzieć, to on chciał wziąć ze mną ślub.

Bardzo na to nalegał.

Kane zaklął pod nosem, mocniej ściskając jej rękę. Rhiannon stanęła na palcach, by spojrzeć mu w oczy.

- Uważasz, że zrobił to z twojego powodu? - spytała. - Kane, czas dorosnąć! Ty zniknąłeś, a on był przy mnie. Ty nie chciałeś, a on chciał ze mną być. Nie miało to nic wspólnego z tobą, jasne? Szczerze mówiąc, nadal nie ma, więc pozwól mi odejść!

- Czy on cię kochał?

- Trudno byłoby ci w to uwierzyć, prawda? - spytała zaczepnie.

- Nie. Teraz znam cię dużo lepiej niż wtedy i wcale bym mu się nie dziwił - odrzekł spokojnie.

Co on tym razem ma na myśli? Chyba nie chce jej dać do zrozumienia, że on sam... To szaleństwo, pomyślała i pokręciła głową.

- Sądziłam, że to kobiety wszystko komplikują i czepiają się szczegółów - powiedziała.

Kane uwolnił wreszcie jej dłonie, jednak nie pozwolił jej odejść. Objął ją w pasie i przytulił do siebie. Jej serce gwałtownie przyspieszyło. Kane jak dawniej wywoływał w niej nieopanowane pożądanie!

- Wyszłaś za niego, bo cię kochał i miałas na utrzymaniu dziecko. Dał ci poczucie bezpieczeństwa, tak?

- Nie obchodziły mnie jego pieniądze, jeśli to masz na myśli - powiedziała, oddychając ciężko. - Potrafiłam sama zarobić na utrzymanie Lizzie. Przedtem dawałam sobie radę sama. On nie był taki zły, jak uważasz. Bywał czarujący, zabawny i niczego nie komplikował. Powiedziałam sobie, że mogę zaryzykować małżeństwo bez miłości, jeśli jest nadzieja, że w końcu wykielkuje jakieś uczucie. Pod tym względem to, co nas łączyło, wcale nie było lepsze.

Kane zamyślił się na chwilę.

- Uznałaś, że w związku bez miłości poczujesz się bezpieczniej? - spytał z niedowierzaniem.

- Może. W każdym razie teraz nie ma to już znaczenia.

Kane spoglądał na nią z napięciem.

- Nie można skrzywdzić kogoś, kto nie kocha... - odezwał się.

- Miłość też nie gwarantuje trwałego związku - zauważyła.

Spojrzał na jej rozchylone usta.

- A zauroczenie i pociąg do tej drugiej osoby?

- To już na pewno nie trwa wiecznie - oświadczyła z przekonaniem. - Sam pomyśl, czy kiedy będę przygarbioną staruszką, to będziesz za mną wodził oczami?

- Myślę, że zawsze będzie iskrzyło między nami - zauważył cichym głosem. - Minęło sporo lat i nic się nie zmieniło.

W odczuciu Rhiannon ta rozmowa przypominała rozdrapywanie rany.

- To za mało do stworzenia szczęśliwego związku.

- Dobrze, ale w takim razie powiedz, czego jeszcze potrzeba? - nie ustępował.

Rhiannon roześmiała się nerwowo.

- Nie mam pojęcia - przyznała. - Moje życiowe doświadczenia są raczej ponure. Powinieneś spytać kogoś innego. Ja przekonałam się tylko, że o wiele lepiej żyje mi się w samotności niż w związku.

- Po prostu wyszłaś za nieodpowiedniego faceta - stwierdził, przysuwając usta do jej policzka. - Poza tym nie łączyło was nic zmysłowego.

Delikatnie musnął wargami jej usta, objął ją i przytulił mocniej. To nie jest w porządku, pomyślała. Fizyczny związek to za mało. Tym razem chciała więcej. Mają za sobą tyle wspomnień! Popelnili błędy, które już zawsze będą ich prześladowały i w końcu doprowadzą do rozstania. Rhiannon była przekonana, że drugi raz nie potrafiłaby tego przeżyć.

Kane odsunął się, by spojrzeć jej w oczy.

- Wielu ludzi nie łączy nawet tyle co nas. My mamy ze sobą i tak więcej wspólnego: dziecko. Czy to nie wystarczy?

O czym on mówi? - pomyślała. Czy to ma być propozycja?

- Chyba nie mówisz poważnie? Sugerujesz małżeństwo z rozsądku? - spytała z niedowierzaniem. - Naprawdę uważasz, że chciałabym takiego związku z tobą?

Kane skrzywił się.

- A dlaczego nie?

- Mam już za sobą nieudane małżeństwo. Co miałyby mnie skłonić do wpakowania się w kolejny taki cyrk? W jakiej epoce, twoim zdaniem, żyjesz?

Kane cofnął się o krok.

- Mówiliśmy wiele razy, że dla Lizzie...

- To ma być argument? - spytała podniesionym głosem. Patrzyła na niego urażona, zła i upokorzona. - Jak możesz wyskakiwać nagle z propozycją, że trzeba coś zrobić dla dobra Lizzie? Potrafię opiekować się nią bez twojej pomocy. Zrobię, co tylko możliwe, żeby spędzała czas z tobą, ale tylko dlatego, że jesteś wobec niej zupełnie inny niż wobec mnie!

Właśnie to bolało ją najbardziej. Dziecko Kane potrafił kochać bezwarunkowo, a jednocześnie uważał, że matka tego dziecka powinna zdecydować się na małżeństwo bez miłości. Oczywiście, bez miłości z jego strony, bo ona była zakochana w nim po uszy.

Poczuła dławienie w gardle.

- Dziś tańczyłeś z córką i był to jeden z najwspanialszych widoków w moim życiu. Nie masz najmniejszych problemów z okazywaniem jej uczucia. Jeśli ja jeszcze kiedyś wyjdę za mąż, stanie się to z kilku powodów, ale najważniejsza będzie miłość. Nic takiego nie istnieje między nami, więc nie przewiduję ślubu z tobą przez najbliższy milion lat!

Kane spojrzał na nią rozbawionym wzrokiem.

- Milion lat? - upewnił się.

- Właśnie tyle! - potwierdziła, szlochając, i oparła zaciśnięte dłonie o jego klatkę piersiową. - Zostaw mnie wreszcie w spokoju. Kiedy tu zamieszkałeś, zaczęło mi się wydawać, że jesteś inny niż w rzeczywistości - mówiła,

odpychając go. - Byłam na tyle naiwna, że po twoim wyjeździe uważałam dom za pusty i smutny.

Spojrzał na nią z rozczeniem i uśmiechnął się łagodnie. Uznała, że potraktował tę sytuację jako swoje kolejne zwycięstwo.

- Rhiannon...

- Nienawidzę cię!

- Nieprawda.

- W tej chwili nie mogę cię znieść. Nie zламаłeś mi serca za pierwszym razem, ale teraz niewiele brakuje, żeby ci się udało. Gdybyś miał wobec mnie choć odrobinę życzliwości, nie proponowałbyś mi układu, w którym nie mogłabym czuć się szczęśliwa.

Chwyciła suknię obiema rękami, odwróciła się na pięcie i pobiegła na górę. Chciała wreszcie znaleźć się w swoim pokoju i zamknąć za sobą drzwi, zanim Kane zdąży ją zatrzymać.

On jednak nie ruszył za nią. Nie powiedział też, że źle go zrozumiała i że zasługuje na prawdziwe szczęście. Tego po prostu nie mogła mu darować.



## **ROZDZIAŁ TRZYNASTY**

Kane musiał jak najszybciej znaleźć sposób, by skłonić Rhiannon do rozmowy. Im dłużej ta nieprzyjemna sytuacja pozostanie w zawieszeniu, tym trudniej będzie jej wyjaśnić, że poprzedniego wieczoru źle go zrozumiała. Choć w gruncie rzeczy sama jest temu winna. Gdyby nie gapił się na nią jak urzeczony, pewnie potrafiłby jaśniej wyrazić, co miał na myśli. Jednak gdy tylko ją zobaczył, przestał logicznie myśleć. Dziesięć lat temu uciekliby z przyjęcia do jakiegoś zaciszego pokoju już po paru minutach!

Kiedy zatańczyli, wreszcie spełniło się jego marzenie. Znów mógł ją objąć! Myślał o tym od chwili ostatniego wyjazdu. Za każdym razem, gdy dzwonił, by poplotkować z Lizzie, najpierw przez kilka minut rozmawiał z Rhiannon, co wprawiało go w dobry humor na resztę dnia. Najwyraźniej miał obsesję na jej punkcie. Czyżby był w niej zakochany, nie zdając sobie z tego sprawy? Nie znał odpowiedzi na to pytanie, dopóki nie wyjechał.

Nagle zaczął tęsknić za nią i za Lizzie. Po prostu zaczął tęsknić za rodziną! Nigdy nie sądził, że będzie mu kogoś aż tak brakować. Jednak dopiero gdy zobaczył Rhiannon w długiej wieczorowej sukni, zrozumiał, co naprawdę czuł. Stała wtedy w przyćmionym świetle na tle bukietów kwiatów i wyglądała przepięknie.

Teraz musi szybko wyjaśnić to nieporozumienie. Obudził się nad ranem i, przewracając się z boku na bok, starał się wymyślić jakieś rozwiązanie. Najchętniej zszedłby do holu i wszystko jej wytłumaczył, ale tylko pozornie było to łatwo przeprowadzić. W końcu około wpół do siódmej rano miał już w głowie gotowy plan. Potrzebował jedynie współlnika...

Gdy Lizzie oznajmiła, że sama przygotowuje kolację, Rhiannon skorzystała z okazji, by schować się w swoim pokoju i odpocząć od ciągłego uśmiechania się, do czego zmuszała się przez cały dzień. Robiła, co mogła, by uniknąć towarzystwa Kane'a. Sprzątała, przesuwała meble, odkurzała i zmywała. Nie zrobiła sobie nawet przerwy na lunch. Wynajdywała sobie coraz to nowe zajęcia, żeby dzień szybciej minął. Wkrótce Kane wyjedzie i znów będzie spokój.

Od czasu do czasu widziała go, jak się bawi z Lizzie. Czasem śmiali się i przytulali do siebie, co ona odbierała jak tortury. W końcu zdecydowała się na długą kąpiel. Odprężyła się trochę, leżąc w wannie. Potem przebrała się i zdecydowała, że znów spędzi trochę czasu w towarzystwie Kane'a i córeczki.

Gdy jednak miała zamiar wejść do kuchni, słowa napisane kolorowymi kredkami na kartce przyklejonej do drzwi kategorycznie zabraniały wstępu.

- Najwyraźniej nie jesteśmy tam mile widziani - usłyszała za plecami głos Kane'a. Podszedł i stanął obok z rękami skrzyżowanymi na piersi. - Ciekawe, co ona tam kombinuje?

Rhiannon westchnęła ciężko.

- Nie mam pojęcia.

Stali jeszcze przez chwilę, ale Rhiannon nie czuła się na siłach, by znieść kolejną dawkę narastającego napięcia.

- Chyba zrezygnuję z kolacji. Jestem zmęczona po wczorajszym wieczorze.

- Powinnaś coś zjeść. Przecież nie jadłaś lunchu - zauważył i zastukał w drzwi. - Możemy wejść?

- Nie!

- A kiedy będziemy mogli? - spytała Rhiannon z głośnym westchnieniem.

Nagle drzwi otworzyły się, Lizzie wyszła i zamknęła je za sobą. Rodzice przez chwilę spoglądali na nią w milczeniu.

- Masz coś na włosach - zauważył Kane.

Dziewczynka przejechała dłonią po głowie. Potem polizała palec.

- Majonez - stwierdziła. - Kolacja będzie w pokoju z kominkiem, a nie w kuchni - dodała. - Chodźcie.

Rhiannon nie miała najmniejszej ochoty na zabawy, natomiast Kane wydawał się zachwycony. Potraktowała to więc jak wyzwanie i ruszyła za Lizzie.

- Co tu się dzieje? - zawołała odruchowo, gdy tylko znalazła się w pokoju.

Na ścianach wisiały serca wycięte z kartonu i kolorowego papieru. Stolik przy oknie nakryty był dla dwojga. Na środku stała świeca, a obok w małym wazonie samotny żonkil.

Lizzie spojrzała z dumą na rodziców.

- Wszystkiego najlepszego z okazji walentynek! - wyrecytowała.

Rhiannon miała ochotę natychmiast rzucić się do ucieczki. Natomiast Kane pochylił się do jej ucha.

- Pamiętałaś, że dziś walentynki? - spytał szeptem.

- Właściwie tak. Bał był o dzień wcześniej, bo ludzie unikają urządzania takich imprez w niedzielę. Po prostu w poniedziałek trzeba iść do pracy. - Urwała i spojrzała na niego. - To nie był mój pomysł - dodała, wskazując na przystrojone wnętrze.

Kane uśmiechnął się.

- Wiem.

- Mamo, usiądź tutaj, a tata tam - rzekła Lizzie, wskazując im miejsca przy stoliku.

Po raz pierwszy nazwała Kane'a tatą. Oboje popatrzyli najpierw na nią, a potem wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Gdy usiedli, Lizzie podała ojcu zapalki.

- Musisz zapalić świecę. Będzie bardziej romantycznie.

Rhiannon westchnęła, oparła łokieć na stoliku i zasłoniła dłonią oczy. Usłyszała zamykanie drzwi, a potem głośny chichot.

- Naprawdę się postarała. To miło z jej strony - odezwał się Kane.

- Dobrze, że przynajmniej ty się cieszysz - powiedziała Rhiannon, patrząc na niego przez palce. - Wiesz, do czego ona zmierza?

Kane pochylił się do przodu.

- Oczywiście. Przecież to jasne jak słońce.

Rhiannon jęknęła po raz kolejny.

- Jeśli tak dalej pójdzie, nie wiem, czy dożyję jutra. Wy tłumacz jej, że to do niczego nie doprowadzi.

Kane roześmiał się.

- Dlaczego to właśnie ja mam z nią rozmawiać? - zapytał.

Bo jej matka nie potrafi powiedzieć, że nie kocha jej ojca, pomyślała.

- Cóż, przecież nie możemy dopuścić, żeby wyobrażała sobie, że... - zaczęła, ale właśnie otworzyły się drzwi i Lizzie wkroczyła do pokoju tyłem, przytrzymując drzwi plecami, po czym odwróciła się i postawiła przed nimi talerze.

- Przystawki - oznajmiła i zniknęła.

Kane spojrzał na Rhiannon i wybuchnął śmiechem.

- Żałuj, że nie widzisz własnej miny!

- To wcale nie jest śmieszne.

- Trochę śmieszne i na pewno romantyczne. Jak sądzisz, co jest na tych talerzach? - spytał z lekkim niepokojem.

Rhiannon kolejny raz pomyślała o tym, żeby zerwać się na nogi i stąd uciec. Jednak na razie z pomocą widelca zbadała zawartość swojego talerza.

- Jajo głęboko zatopione w majonezie - oświadczyła z miną eksperta.

- Na pewno?

Uśmiechnęła się lekko i skinęła głową.

- Nie powinniśmy ulegać jej naciskowi. Przecież ona najzwyczajniej chce nas wyswatać!

Kane skinął głową.

- Chyba cię to nie dziwi?

- Co masz na myśli?

Wzruszył ramionami.

- Lizzie jest bardzo bystra, chyba nie zaprzeczysz. Widziała, jak zachowujemy się wobec siebie...

- Jak? Przecież nie robimy nic nadzwyczajnego. Traktujemy siebie obojętnie.

Kane rzucił jej wymowne spojrzenie.

- Niezupełnie się z tobą zgadzam - powiedział i ruchem głowy wskazał jej talerz. - Lepiej zjedz trochę, bo sprawisz jej przykrość.

Rhiannon patrzyła na swoją porcję z wyraźną niechęcią, natomiast Kane zajął się swoją przystawką bez oporów.

- Domyśla się, że my...

- Pocałowaliśmy się? - dokończył Kane.

Chciała zrewanżować mu się jakąś złośliwością, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

- Nie psuj złym humorem romantycznych walentynek - poprosił i sięgnął widelcem po jej jajko. - Przynajmniej zrób trochę bałaganu na talerzu.

Znów otworzyły się drzwi i wkroczyła Lizzie.

- Proszę podnieść talerzyki - zarządziła, wnosząc duże talerze. -

Nałożyłam dużo sałaty, bo mama zawsze mówi, że to zdrowe.

Kane skinął głową, usiłując zachować poważną minę.

- Dziękuję, kochanie.

- Musiałaś się nieźle napracować - odezwała się Rhiannon.

- Mam nadzieję, że deser będzie bez zdrowych warzyw? - upewnił się

Kane.

Rhiannon roześmiała się, ale zaraz potem spojrzała na niego z wyrzutem.

- Ja tylko żartowałem - wyjaśnił. - Na pewno będzie doskonały.

- Będą lody!

- Przepadam za lodami.

- Ja też - przyznała Lizzie z szerokim uśmiechem. - Macie ze sobą rozmawiać - przypomniawszy, wychodząc.

- Cały czas rozmawiamy.

Rhiannon odwróciła wzrok.

- Musimy jej powiedzieć - odezwała się po chwili. Grzebała widelcem na talerzu, starając się przynajmniej zrobić wrażenie, że coś zjadła.

- Co powiedzieć? - spytał Kane, unosząc brwi.

- Że nic się między nami nie wydarzy.

- Już się wydarzyło.

- Nieprawda - stwierdziła, czując, że zanoszi się na kłótnię.

Kane jadł z apetytem, a jednocześnie przyglądał się jej uważnie.

- Przede wszystkim zaprzyjaźniliśmy się. Sama mówiłaś, że jesteś z tego zadowolona.

- Owszem - przyznała niechętnie.

- Nie sądzisz, że to duża zmiana?

- Oczywiście. Przynajmniej dla dobra Lizzie.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

- Nie wszystko musi się dziać wyłącznie ze względu na nią - odezwał się Kane. - Na przykład potrafimy świetnie współpracować.

Spojrzała na niego, zastanawiając się, do czego zmierza. Przecież poprzedniego wieczoru wyraziła swoje poglądy jasno i dobitnie. Nic do niego nie dotarło?

- Dogadujemy się w różnych sprawach bez problemu - wyliczał dalej. - Na dodatek masz tak wyraziste spojrzenie, że często potrafię odgadnąć, o czym myślisz. Wystarczy spojrzeć ci w oczy. Zawsze mnie to fascynowało - przyznał.

Rhiannon nie mogła uwierzyć, że zdobył się na tyle miłych słów. Czy on naprawdę nie zdaje sobie sprawy, jak to na nią działa? Czyżby domyślał się, co ona do niego czuje? Niestety, miała okazję przekonać się na własnej skórze, ile cierpienia kryje się za nieodwzajemnionym uczuciem.

Uniosła głowę, unikając jego wzroku.

- Cóż, zgadzam się, że to wszystko jest ważne.

- Dziękuję.

- Nie przeciągaj struny. Dobrze wiesz, że ostatnio nie za bardzo cię lubię.

- Nie mówisz całej prawdy - zaryzykował. Podniosła na niego oczy. -

Lubisz mnie bardziej, niż przyznajesz. Przynajmniej taką mam nadzieję. Jeśli się mylę, to zaraz wyjdę na głupka.

Rhiannon szerzej otworzyła oczy. A więc on wszystkiego się domyśla!

Kolejny raz Lizzie uroczyście wkroczyła do pokoju.

- Przyniosłam lody - oznajmiła, stawiając przed nimi miseczki. -

Zapomniałam włączyć muzykę - dodała, podchodząc do odtwarzacza.

Rhiannon starała się ją powstrzymać.

- Kochanie, nie potrzebujemy muzyki.

- To tylko takie romantyczne utwory do tańca - wyjaśniła Lizzie.

- Nie mam ochoty na żadne tańce - mruknęła Rhiannon i zaraz zdała sobie sprawę, że zabrzmiało to nieco obcesowo. - Jestem po prostu bardzo zmęczona - dodała szybko.

- Włączyłam złą muzykę? - Lizzie zwróciła się do ojca, marszcząc czoło.

- Mówiłeś, że trzeci utwór jest najlepszy.

On mówił? Rhiannon wytrzeszczyła oczy.

- To właśnie ten. Nie martw się - powiedział Kane. - Przygotowałam świetne dekoracje i jedzenie. Bardzo dziękuję.

- Kto wpadł na ten pomysł? - spytała Rhiannon.

Lizzie spojrzała na nią z dumą.

- Tata to wymyślił, a ja zrobiłam jedzenie - pochwaliła się.

Rhiannon przymknęła oczy, czując, że ma zawroty głowy.

- Nie mogę uwierzyć, że zdobyłeś się na coś takiego - szepnęła.

Kane patrzył na nią z łagodnym uśmiechem.

- Lizzie, mama i ja musimy teraz chwilę porozmawiać, dobrze?

- Jasne! - Dziewczynka podbiegła do niego, pocałowała go w policzek i zniknęła za drzwiami.

Zostali sami. Rhiannon obawiała się, że dalsza rozmowa będzie dla niej jednym wielkim upokorzeniem.

- Po co to wszystko? - spytała zrezygnowanym tonem.

Kane odsunął krzesło i wstał.

- Domyślisz się, jeśli przez chwilę pomyślisz. A tymczasem zatańcz ze mną - powiedział, wyciągając do niej rękę.

- Nie chcę z tobą tańczyć.

- Możemy tańczyć i rozmawiać. Proszę!



Zaskoczył ją. Dotychczas nie zdarzało się, by prosił o cokolwiek. Wstała z wahaniem. Kane objął jej dłoń i odetchnął z ulgą. Najwidoczniej nie był pewien jej reakcji, co też wydało się jej zaskakujące.

Przeszli na środek pokoju i zaczęli wolno kołysać się w rytm muzyki.

- Dlaczego to robisz? - zapytała.

- Dobrze wiesz.

- Już mówiłam, że nie wyjdę za ciebie.

- Przynajmniej przez najbliższy milion lat?

Skinęła głową. Kane uśmiechnął się.

- Nadal nie rozumiesz?

- Mówiłam ci, że nie chcę budować związku tylko na pożądanu.

Kane pochylił się i delikatnie ją pocałował.

- Jesteś pewna, że tylko to nas łączy? - spytał cicho.

Otworzyła szerzej oczy. Czyżby...? - pomyślała z nadzieją.

- Chciałbym ci udowodnić, że dużo więcej. Jeśli nie uda mi się teraz, będę próbował aż do skutku - oświadczył. Miał dokładnie taką minę jak w dniu, gdy powiedział Lizzie, że jest jej ojcem. Wtedy też nie ukrywał swoich uczuć. - Poza tym mamy cudowne dziecko. Gdyby było to możliwe, chciałbym mieć całą ich gromadkę. Medycyna zna teraz różne sposoby...

Rhiannon powoli kiwała głową, czując gonitwę myśli. Być może on nie kocha mnie tak jak ja jego, myślała, ale chyba zależy mu na niej i chce przynajmniej spróbować wspólnego życia. Dlaczego miałyby z tego zrezygnować?

Wspięła się na palce i pocałowała go.

- To prawda, że Brookfield jest wymarzonym miejscem dla dzieci. Jedno już mamy. Jeżeli kiedyś przydarzy nam się kolejne, takie jak Lizzie, to zupełnie wystarczy - zauważyła z uśmiechem.

- Jeśli się postaramy, może będzie ich więcej - powiedział żartobliwym tonem. - Chciałbym, żeby więcej dzieci mogło się tu bawić. Pozostaje jeszcze adopcja, możemy organizować obozy w lecie... - rozmarzył się. - Jednak na razie chcę się nauczyć, jak być dobrym ojcem dla jednego dziecka - dodał.

- Jesteś wspaniałym ojcem. - Rhiannon uniosła dłoń i pogłaskała go po policzku.

- A ty moim najlepszym kumplem - powiedział Kane. - Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że zawsze łączyło nas więcej niż tylko przyjaźń i wzajemna sympatia.

- Jeśli mam zdobyć się na absolutną szczerłość, to w głębi duszy bardzo chciałam, żeby z naszego spotkania po latach wynikło coś więcej niż wspólna opieka nad dzieckiem. Jednak bałam się o tym myśleć.

Przerwała na chwilę i spuściła głowę.

- Kiedy odszedłeś, zламаłeś mi serce. Nie chciałam być kobietą, która kochała i została porzucona. Byłoby to nie do zniesienia. Łatwiej było wmówić sobie, że cię nienawidzę. Teraz jestem dorosła i wiem, co naprawdę czuję. Jeśli znów mnie porzucisz, chyba tego nie przeżyję.

Kane objął ją mocno.

- Potrzebowałem trochę czasu, żeby wszystko przemyśleć i ułożyć sobie w głowie. Wczorajsza rozmowa była zupełnie bez sensu. Nie zrozumieliśmy się. Musiałem coś szybko wymyślić, poprosiłem więc Lizzie o pomoc.

- Zawsze dogadujecie się za moimi plecami - powiedziała, jednak nie próbowała udawać, że ma o to pretensję.

- Tak, ale zawsze mamy dobre intencje.

Spojrzała mu w oczy.

- Kocham cię, głuptasie.

- Ja też cię kocham...

- Uważaj, co mówisz - przerwała mu z uśmiechem. - Masz jeszcze moment na zastanowienie. Później już nie pozwolę ci odejść.

- Nie chcę się zastanawiać. I zupełnie przypadkiem mam przy sobie pierścionek zaręczynowy.

Rhiannon spojrzała na niego zaskoczona.

- Kupiłeś pierścionek?

Skinął głową.

- Niedawno. Zobaczyłem go w sklepie i pomyślałem, że przyda się za milion lat. Chyba że zmieniłaś zdanie w sprawie daty naszego ślubu - zażartował.

- Ładny ten pierścionek? - spytała zaciekawiona.

- Nie mogę ci go pokazać. Przecież najpierw muszę poprosić cię o rękę - przypomniał.

- Ale może mi się nie spodobać. Zresztą sprawa miliona lat czekania jest już nieaktualna, ale zorganizowanie ślubu i tak potrwa. Pokaż wreszcie ten pierścionek.

- Jeśli włożę ci go na palec, zostanie tam już na zawsze - uprzedził.

- Wiem.

Kane roześmiał się radośnie. Sięgnął do kieszeni i wyjął niewielkie pudełeczko. Uniósł je na wysokość oczu Rhiannon, otworzył i czekał, marszcząc brwi.

Zapadła cisza. Rhiannon z zachwytem podziwiała pierścionek.

- Jest piękny - stwierdziła. - Teraz poproś mnie o rękę.

- Przemyślałaś wszystko?

- Nie, ale i tak znasz odpowiedź. Poproś mnie o rękę!

- Zostań moją żoną. Bądźmy oficjalnie rodziną, którą i tak już jesteśmy.

Kocham cię i zawsze cię kochałem. Życie jest zbyt krótkie, żeby je marnować.

Rhiannon uśmiechała się, czując napływające do oczu łzy wzruszenia.

- Kocham cię. Zgadza się milion razy. A czy zdajesz sobie sprawę, że już żadne walentynki nie będą dla nas tak ważne jak dzisiejsze? - zapytała, wyciągając do niego ręce.

Kane mocno ją przytulił i pochylił się, by ją pocałować.

- Całujecie się? - rozległ się nagle donośny głos z holu.

- Tak, więc już cię tu nie ma! - zawołał Kane.

Usłyszeli krzyk radości, który cichł, w miarę jak Lizzie oddalała się, biegając po całym domu i niemiłosiernie tupiąc.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

- Teraz musimy nadrobić zaległości w pocałunkach za ostatnie dziesięć lat. Wszystkiego najlepszego z okazji walentynek.

